

stańczyk

PISMO KONSERWATYSTÓW I LIBERAŁÓW

12/1990



Łódź - Kraków - Poznań - Warszawa
Wrocław



SPIS RZECZY

STAŃCZYK

Kronika.....	str. 3
Krzysztof Bakowski - Rumunia raz jeszcze	5
Tomasz Gabiś - Obrona Wielkiego Inkwizytora	6
Aleksander Popiel - O fałszywej i prawdziwej przewencji	12
Juliusz Kot - Do broni	13
Tomasz Gabiś - Nieobecni mają rację	14
/ap/ - Powrót na scenę	14
Mikołaj G.Davila - Aforyzmy.....	15

LIBERO

Komentarz	17
Józef Kossecki - Każdy, kto szczerze kocha.....	20
Janusz Korwin-Mikke - Niemcy	22
Andrzej Mańnica - Kto kogo?	23
Stanisław Michalkiewicz - Biorą nas na fundusz	25
Aleksander Jędraszczyk - To na pewno nie to	27

NARODOWI KONSERWATYŚCI

Stanisław Krajski - Sensus catholicus	33
Janusz Korwin-Mikke - Zdrajcy czy patrioci	37
Jacek Dębski - Nowa stara utopia	43
Jacek Dębski - Liberalizm w okowach	45

KOLIBER

Aleksander Popiel - Ausschluss?	49
Tomasz Gabiś - "Prawo do samostanowienia"	51
Maurycy Rojski - Ostateczne rozwiązanie kwestii niemieckiej	52
CHICAGO BOYS: Ludwik von Mises - Interwencjonizm	55
Joachim G.Gorlich - Więzy kulturalne	56
Tomasz Gabiś - Pod znakiem B. Gracjana	60

PUMA	63
Stowarzyszenie Tradition, Family and Property	63

15 października 1989 roku po ciężkiej chorobie odszedł na zawsze Mirosław Dzielski. Polska prawica utraciła jeden z największych umysłów. Dziś widać już całkiem jasno, że zarówno Jego publicystyka w założonym i redagowanym przez Niego piśmie "13", jak i niewielkie, lecz tylko objętościowo, książki "Odrodzenie ducha i budowa wolności", "Jak zachować władzę w PRL", "Duch nadchodzącego czasu" znaczą dla życia intelektualnego i politycznego w Polsce nieskończenie więcej niż setki książek wydanych we wszystkich możliwych obiegach.

Ale Mirosław Dzielski to nie tylko znakomite plody Jego pióra, to także On sam - Jego niezwykła promieniująca na innych pogoda ducha, Jego dar inteligentnej i dowcipnej konwersacji, Jego poczucie humoru, Jego moc charakteru. To wszystko dane było poznać jedynie tym, którzy zetknęli się z nim osobiście. Wielu z nas miało tę możliwość, a każde spotkanie z Nim wzbogacało nas duchowo i zawsze będziemy Mu za to wdzięczni.

Redakcja Stańczyka przeprasza Autorów i Czytelników za liczne błędy i za opóźnienie w druku tego numeru.

4 listopada 1989 roku na Politechnice Warszawskiej odbył się Kongres Prawicy Polskiej. Głównym organizatorem był Klub Zachowawczo-Monarchistyczny, którego prezes p. Artur Górski otworzył obrady mówiąc m.in.: "Jeżeli ktoś nie umie zdefiniować, co to jest prawica, jeżeli nie wie czym konserwatyzm, ten nie pojmie fenomenu jakim jest monarchizm".

W pierwszej części kongresu wzięli udział: p. Romuald Szeremietiew (Polska Partia Niepodległościowa), p. Jacek Bartyzel (prezes Klubu Konserwatywnego w Łodzi), p. Piotr Piesiewicz ("Słowo Narodowe").

Po 30-min. przerwie głos zabrali p. Marek Jurek (v-ce przewodniczący Zarządu Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego) oraz p. Janusz Korwin-Mikke (prezes Unii Polityki Realnej). Po panelu miała miejsce dyskusja.

Podczas Kongresu wyrażono m.in. następujące opinie: "Ten kto mówi, że nie ma różnicy między lewicą a prawicą jest po prostu lewicowcem i boi się przyznać, że przegrał." (J. Korwin-Mikke). "Jeśli chodzi o metody działania, to istotna różnica leży w tym, że dla lewicy liczy się ich skuteczność, natomiast dla prawicy moralność - dopiero spośród moralnych wybiera się skuteczne." (P. Piesiewicz). "Zaden interes klasowy nie może osiągnąć tego stopnia wartości co sankcja nadprzyrodzona. Wobec tego konserwatyści polscy opowiadają się za chrześcijańską wizją państwa i za prawem ludzkim, które obowiązuje o tyle, o ile jest zgodne z nadprzyrodzonym." (J. Bartyzel); o planach zjednoczonej Europy: "Przecież historia świata to historia narodów i wspólnot. Czy można więc gwałtownie przecinać naturalny bieg rzeczy? Czy może się skończyć tego typu kolektywizacja społeczeństw?" (M. Jurek).

Wszyscy mówcy z atencją odnieśli się do wartości kapitalizmu, natomiast wiele uwag krytycznych padło pod adresem demokracji. Zbieżne stanowiska w wielu innych kwestiach świadczą o tym, że możliwa jest taktyczna konsolidacja prawicy.

(ag)

Jazd SN

Po 50 latach nieobecności w jawnym życiu politycznym Polski Stronnictwo Narodowe wznowiło swą działalność proklamacją z dnia 8.VII.1989. Podczas zjazdu 18 listopada spotkali się ludzie, których integrują zasady: prymatu interesu narodowego, inspiracji katolickiej, jedności praw i obowiązków i orientacji polityki zagranicznej na sojusze słowiańskie. SN zapowiada, że będzie nowoczesnym ruchem Narodu, stawiającym na własną myśl i potencjał w walce o niezależnienie kraju od zadłużenia. Celem gospodarczym jest rozwój prywatnej własności, w tym rodzinnego i rodzimego rolnictwa, przemysłu, rzemiosła i handlu, a także rozwiązania będące w stanie sprostać przez Polskę wyzwaniom XXI wieku, wymogom rywalizacji międzynarodowej, w której grozi nam zepchnięcie do pozycji europejskiego marginesu. W odezwie do młodych podkreślono, że "każdy z nas toczy bój przynajmniej o jedną osobę - o siebie i swoją godność. Suma tych zwycięstw da nam taką siłę sprawczą, że mieszkanie w Polsce przestanie być luksusem, że wyjazd za granicę nie będzie stanowił o sukcesie osobistym, że rząd nie będzie już potrafił żywić się sam bez Narodu, że nie będzie finansowało zakupów żywności za granicą wzbogacając kieszeń obcego farmera i jednocześnie dyskryminując polskiego rolnika". To oświadczenie w sprawie zasad współpracy z RFN podkreśla, że Naród Polski nie uważa się za dłużnika, lecz wierzyciela Niemiec, a "Polacy i Polki

nie potrzebują jałmużny". Z uznaniem ze strony delegatów spotkały się stwierdzenia sekretarza Unii Polityki Realnej, Krzysztofa Bakowskiego, iż koniecznym jest istnienie w Polsce silnego obozu prawicy, gdzie narodowcy i konserwatyści są dla siebie naturalnymi i bliskimi partnerami. Powołano władze SN. Przewodniczącym Rady Naczelnej został Bronisław Eckert (9 lat więzienia w PRL), przewodniczącym Komitetu Głównego Adam Krajewski. Na czele władz wykonawczych - Zarządu Głównego staneli: prof. Stefan Jarzebski (Prezes) oraz Jan Dziżyński i Zbigniew Jacniacki (wiceprezisi).

(huk)

Konferencja u Halla

Dnia 28.XI.br.z inicjatywy p.min.Aleksandra Halla odbyło się spotkanie przedstawicieli partii i stronnictw politycznych na temat ustawy o partiach politycznych.

Unię Polityki Realnej reprezentowali p.Krzysztof Bakowski-sekretarz Rady Głównej i p.Jacek Debski-członek Zarządu Ziemi Łódzkiej.

Stanowisko UPR jest następujące:

-ustawa o partiach politycznych jest zbędna. Partie polityczne uznawane są przez tych, którzy chcą do nich wstąpić, dlatego nie potrzebują się rejestrować ani notyfikować u władz państwa.

-partie nie mogą być dofinansowywane w żaden sposób przez budżet państwa, także w formie ulg podatkowych. Finanse partyjne są ich sprawą wewnętrzną, natomiast nie mogą pochodzić z własnej działalności gospodarczej.

Na spotkanie nie przyszli przedstawiciele PZPR.

Stronnictwo Narodowe nie zostało zaproszone.

/x/

Nowy Rok we Wrocławiu

W dniach od 28.12.89r. do 02.01.br. odbył się we Wrocławiu zjazd młodzieży z cyklu Europejskich Spotkań Młodych organizowanych przez ośrodek ekumeniczny w Talizie.

Ulice, place, sklepy, kawiarnie, restauracje i Pewexy wypełniły się wielobarwnym tłumem. W wyznaczonych organizacyjnie godzinach, szczególnie wypełniali też kościoły i cztery cyrkowe namioty stojące w centrum piastowskiego grodu.

Nowy Rok młodzież witała m.in. w kościele św.Antoniego przy Al.Kasprowicza. O godz. 24:00 młodzi Europejczycy zebrali się na Mszy św. W przedśionku Świątyni rozwieszono różnojęzyczne plakaty z napisem "cisza". Jednak we wnętrzu panował nastrój rozproszenia i nieładu. Z wybieciem godz. 24:00 rozległy się oklaski, urzępniętane gwizdami, piskami i raz po raz wznoszonymi okrzykami. Przybyli objęci wspólnym uściskiem kiwali się w takt piosenki, przenosząc w świetle miejsce doświadczenia koncertów rockowych. Koncelebrujący św.Liturgie franciszkańscy i ministranci wtopili się w ogólnie panujący nastrój. Zza pulpitu padały życzenia szczęśliwego Nowego Roku, grzłały brawa, trzaskały flesze aparatów fotograficznych. Mniej zainteresowani mijali prezbiterium obojętnie, zacierając w sobie wiadomych kierunkach.

W tym samym czasie, przed kościołem, ich bracia pili toasty szampanem, wznosząc entuzjastyczne okrzyki: "Happy New Year", "Causescu is dead", "Jeszcze Polska nie zginęła".

Pielgrzymka zaufania przeszła przez polską ziemię.

Rumunia raz jeszcze

Do walki o demokrację Judzić trzeba długo, bunt głodowy wybucha i szerzy się jak pożar. Rumuni wyszli na ulice miast nie po to by walczyć o demokrację ale o chleb. Dlatego widok ulic w grudniu 1989 w Rumunii w niczym nie przypominał widoku ulic polskich miast w grudniu 1981 roku.

Zbrodnia Causescu nie na tym polegała, że kazał strzelać do zbuntowanych tłumów, lecz na tym, że doprowadził Rumunów do kondycji szczurów w klatce, z których każdy dostawał obliczony na przeżycie przydział żarcia i prądu elektrycznego. A kiedy racje znowu zaniejszono, kiedy żyć się już nie dało czuć armii odstąpiła od socjalistycznego eksperymentatora i obaliła zdziśnialego bojownika o sprawiedliwość społeczną. Wojna domowa na szczęście nie wyszła, ofiar było 600 a nie jak podawano 80 tysięcy. Z tych wydarzeń można wyciągnąć wiele rozmaitych wniosków. Oto jeden z nich.

Ludzie odpowiedzialni, mający na utrzymaniu rodziny, ciężko pracujący nie powinni być pozbawiani prawa bronięcia swego honoru, czci swoich rodzin przed bandytami i gangsterami, przed ludźmi typu Causescu - terrorystów rewolucjonistów, rabusiów o socjalistycznej mentalności politycznych szalbierzy, rycerzy rządów ludu, którzy zawsze znajdą sposób by wejść w posiadanie broni, by zdobyć władzę. Jednakowoż nie po to by panować, ale po to by grabić legalnie, by torturować i deprawować ludzi, którzy chcą normalnie żyć - cieszyć się wolnością pamiętając o prawie. Ta złodziejska polityka nazywana rządem jedności narodowej czy gdzie indziej - zaufania narodowego, prędzej czy później kończy się buntami głodowymi, rozruchami, chaosem, grabieżami a w końcu anarchią i ciężkimi sprzętem bojowym na ulicach.

Jeżeli chcemy tego uniknąć, jeżeli nie chcemy pozwolić by rzadziły nami gangi i mafie ukrywające swój proceder pod hasłami sprawiedliwości społecznej, solidarności, musimy doprowadzić do sytuacji, kiedy ludzie w Polsce będąc posiadaczami broni sami będą decydować o jej użyciu.

Komunistyczny ancien regime dobrze wiedział co robi nie pozwalając obywatelom na posiadanie broni. Jego pogrobowcy z "Solidarności", którzy wołają głośno o społecznym poparciu, o woli niesienia wolności zgwałconemu społeczeństwu, którzy z "praw człowieka i obywatela" zrobili swoją ideologię, jakos nie kwapią się do przyznania ludziom prawa do posiadania broni. Czyżby nie mieli zaufania do społeczeństwa, które dopiero co ich wybrało?

Apeluję do posłów OKP - przekonajcie przeciwników demokracji o sile samorządowego społeczeństwa; pokażcie nam, którzy przepowiadamy wam klęskę - los wszystkich którzy rozmineli się z powołaniem - że jesteście siłni. Przekonajcie nas, że ludzie, którzy popierali was jeszcze sześć miesięcy temu to ludzie pewni swych rąk i głów; tacy są ostoja prawowitej władzy.

Daście im broni na wszelki wypadek.

Krzysztof Bąkowski

Tekst p. Tomasz Gabisla pt. "Obrona wielkiego inkwizytora" został wygłoszony w dniu 6 listopada 1989 r. w Krakowie na seminarium na temat: "Natura ludzka a władza w filozofii politycznej". Seminarium zorganizował Zakład Historii Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego kierowany przez doc. dr. hab. B. Łagowskiego.

OBRONA WIELKIEGO INKWIZYTORA

*Tylko ten, kto ma dużo armat
ma moralne prawo być pacyfistą
(Gustav LeBon)*

W czasie ostatnich wyborów do Sejmu na murach Wrocławia pojawił się plakat przedstawiający jednego z kandydatów starających się o przychylność suwerennego ludu. Kandydatem tym był pewien generał. Zdjęcie na plakacie przedstawiało go w mundurze trzymającego na rękach dwóch małych chłopców o jasnych czuprynach i uśmiechniętych buziach. Spoglądałeś na to zdjęcie dziesiątki razy-jeszcze dziś można je zobaczyć gdzieś poszarżale lub na wół podarte. I za każdym razem miałem poczucie niestosowności takiego ujęcia. Dopiero nieco później, podczas lektury książki niemieckiego antropologa i socjologa Arnolda Gehlena "Moralność i hipermoralność" uświadomiłem sobie, że ta fotografia w sposób niezwykle wyrazisty dokonuje zderzenia dwóch etosów, o których pisał Gehlen: etosu państwa i etosu rodziny (inny niemiecki antropolog Helmuth Plessner nazywał go etosem wspólnoty).

Generał w mundurze to uosobienie armii, jednej z najważniejszych instytucji państwa. Jego mali wnukowie pochodzą natomiast z rodzinnej sfery miłości i czułości. Generał na zdjęciu to dowódca, który wydaje rozkazy i to niekiedy takie, które, czego jest świadom, przyniosą śmierć jego podwładnym. Generał jest tym, kto grozi użyciem siły, używa jej i niszczy wroga ale jednocześnie jest dziadkiem kochającym swych wnuków: tuli ich do siebie i zapewne śpiewa im piosenki trzymając ich na kolanach. Generał reprezentuje świat mężczyzn, którzy zabijają, dziadek przynależy bardziej do świata kobiet, które dają życie, pielęgnują je i strzegą go. Na jednej fotografii nakładają się na siebie dwa etosy, które podlegają, jak chce Gehlen, różnym instancjom moralnym. W życiu pozostają one często w konflikcie, na fotografii pozostają w harmonii, co podkreślone zostało przez fakt, że generał nie ma poważnej, surowej, chciałoby się rzec marsowej miny lecz uśmiecha się uśmiechem dziadka witającego wnuków powracających z wakacji. Etos państwa został tutaj obłaskawiony czy też udomowiony, jedynie generałski mundur przypomina jeszcze o jego istnieniu. Można by zadać pytanie, jak postąpiłby ten generał, gdyby przyszło mu wydać rozkaz posyłający na pewną śmierć oddział, w którym służą jego wnukowie. Byłby może wówczas podobny do Agamemnona, który musiał złożyć bogini Artemidzie ofiarę ze swej córki Ifigenii, gdyż było to konieczne do wygrania wojny. Jako król i dowódca wojsk musiał działać tak, aby wygrać wojnę co oznaczało jednak, że musi stać się córkobójcą. Jego syn Orestes jako prawowity następca musiał siracić z tronu uzurpatora ale oznaczało to, że stanie się matkobójcą. Zarówno działanie Agamemnona jak i Orestesa było usprawiedliwione jeśli rozpatrywać je w ramach etosu państwa i równocześnie absolutnie sprzeczne z etosem rodziny, z nakazami serca i miłości. Starożytni potrafili o wiele lepiej zrozumieć i pokazać owo, jak pisze Gehlen, napięcie w jakim żyją geniusz lub demon polityki z geniuszem lub demonom miłości.

Na etos wspólnoty Plessnera, rodzący się według Gehlena we wnętrzu rodziny, składają się: miłość, która nie kalkuluje,

sympatia, braterstwo, siostrzanost, dobroć, łagodność, czułość, pokojowość, współczucie, zrozumienie, wzajemne zaufanie. Jeśli przeto z punktu widzenia etosu wspólnoty (rodziny) osądzić politykę i działanie władzy, to nie ma możliwości aby nie uznać ich za niemoralne i nie potępić. Albowiem etos państwa rodzi się w walce i składa się nań cnoty, które właśnie w walce są potrzebne: dyscyplina i rozważa, trzeźwość umysłu i chłodna kalkulacja, czujność i wytrwałość, ostrożność i mistwo, racjonalna ocena niebezpieczeństwa i śmiałość działania, wreszcie zdecydowanie, aby, jak chce Gehlen, jeszcze za życia unieść spojrzem w gardziel śmierci.

Władza działa zawsze w świecie, w którym istnieje nieusuwalny podział na wrogów i przyjaciół, dlatego musi działać według zasady najwyższego bezpieczeństwa, zasady samozachowania i przetrwania wynikającej z odpowiedzialności za innych, będącej podstawą każdej polityki. Obowiązkiem odpowiedzialnego męża stanu jest umocnienie własnej pozycji i osłabienie pozycji wroga. W polityce wyeliminowanie jednego ryzyka tworzy następne, osiągnięcie pewności w jednym punkcie tworzy niepewność w innym, poszerzenie sfery bezpieczeństwa sprowadza nowe niebezpieczeństwo. Etos uzbrojonego państwa nie może być mierzony miarą rodzinnego etosu nastawionego na ochronę życia. Do polityki nie da się przenieść zasad obowiązujących w sferze, w której życie ludzkie jest najwyższą wartością, gó 2 jak słusznie zauważa Plessner, bez zniszczenia wroga a przynajmniej bez groźby jego zniszczenia nie ma polityki.

W etosie uzbrojonego państwa przejawia się w najbardziej czystej postaci polityka, która, jak pisze Plessner w pracy "Polityka i natura ludzka", jest faktem antropologicznym, albowiem relacja wróg-przyjaciel przenika wszystkie stosunki międzyludzkie: istnieje polityka między kobietą a mężczyzną, panem a sługą, nauczycielem a uczniem, lekarzem a pacjentem, artystą a mecenasem. Polityka jest losiem i przeznaczeniem tak długo jak człowiek nie potrafi (a nie stanie się to nigdy) przewyciężyć sprzeczności między tym, co prywatne i tym, co publiczne, tym, co znane i tym, co obce, tym, co przyjazne i tym co wrogie, tym, co ukryte i tym, co wydane na spojrzenia innych. Tak samo więc w stosunkach władzy czysto politycznej konieczna jest agresywna obrona i elementarna nieufność. Są one nieusuwalnymi fundamentami polityki.

Każda wypowiedź dokonywana w sferze politycznej nabiera taktyczno-strategicznego charakteru (najlepiej wyraża ten fakt anegdota o Metternichu, który na wiadomość o śmierci Talleyranda zapytał: "Co on chciał przez to powiedzieć?"). Szczerość, skrupała, żal wyrażenie przyjaźni, zapewnienie o pokoju nabrają wartości politycznej stając się elementami politycznej walki, gdyż Ten Drugi nie może, co więcej nie ma prawa traktować ich inaczej, albowiem oznaczałoby to niewybaczalną ufnosć i brak przezorności, które mogłyby kosztować wiele jego samego jak i tych, za których jest odpowiedzialny. Ten, kto mieczem wojuje musi wiedzieć, że od miecza zginie śmierć ukalkulowana jest w plan jego życia- to ryzyko musi on podjąć, ale równocześnie, jak zauważa Gehlen, zginie również ten, kto miecz odłoży, albowiem ktoś inny podniesie odłożony miecz i użyje go. Próżnia polityczna nie pozostanie niewypełniona i zawsze, jak pisze Gehlen w "Socjologii władzy", należy odpowiedzieć na konkretne pytanie, komu przybywa władzy dzięki potępleniu każdej wojny lub jej kryminalizacji, kto zyskuje więcej władzy oddanej przez programowych pacyfistów lub metafizycznych humanitarystów.

Etos państwa aby go właściwie ocenić i aby rozpoznać jego moralny wymiar musi być widziany w świetle tego, co Niemcy określają jako "Ernstfall"-poważny przypadek czyli moment wymagający podjęcia decyzji najwyższej wagi, poprzez

rozstrzygnięcie albo-albo. Jak pisał jeden z najwybitniejszych myślicieli politycznych XIX-go wieku Dionizy Cortés: Zawsze nadejdzie dzień "radykałnych zaprzeczeń i suwerennych potwierdzeń". Odnosi się to także do sfery polityki. Jeśli zaś ktoś sądzi, że taki dzień można odsunąć na zawsze, że można go wyprzedzić ze świadomością tak jakby nigdy nie miał zaistnieć, ten pragnie osiągnąć to, co niemożliwe- harmonię wspólnoty, uzyskać ostateczne porozumienie czyli jak pisze Kenneth Minogue w książce "Umysł liberalny", wyeliminować politykę z ludzkiego świata. Jednakże polityka nie zniknie, lecz tylko ukryje się.

Większość współczesnych ideologii nacechowana jest wrogością wobec etosu państwa. dokonuje się wymierzona przeciw niemu permanentna rewolucja serc. Przejawy tego moralistycznego ataku można dostrzec nietrudno: otwórz wrocławską miesięcznik "Odra" pewna pani zastanawia się czy nie należałoby zlikwidować więzień, przeciwnicy kary śmierci posuwają się tak daleko, że siedzieli nazywają morderców, pacyfiści potępiają moralnie nie tylko zabijanie bezbronnym, kobiet i dzieci będące rzeczą jasną sprzeczne z etosem państwa ale wojnę jako taką. Inni głoszą ideologię "walki bez przemocy" sądząc zapewne, że w ten sposób przemoc zniknie z ludzkiego świata. Inni jeszcze dosągają się całkowitej jawności polityki potępiając ją za to, że ma swoje tajemnice jakby nie rozumieli, że każde, choćby najjaśniejsze skupienie władzy musi posiadać swoje tajemnice, gdyż w przeciwnym razie przestałoby być władzą. Inni jeszcze żądają solidarności i podmiotowości całego społeczeństwa a więc pragną aby zniknęły stosunki władzy zastąpione przez solidarną wspólnotę, przez komunizm serc. Nosićielami tegosentymentalnego humanitaryzmu są przede wszystkim intelektualisci, których w swej książce "Pracują inni. Walka klasowa i kapłanskie panowanie intelektualistów" niemiecki socjolog Helmut Schelsky nazywa kapłanami nowej religii socjalnej. Ich celem jest dyskredytacja moralnego autorytetu państwa i jego instytucji, podważenie lub zniszczenie etosu państwa w imię etosu wspólnoty. Już nie pewne formy władzy ale zgodnie z zaleceniem Michała Foucault władza jako taka objęta zostaje podejrzeniem. Władza sama w sobie staje się zła. W tysiącach wariacji powtarza się zdanie słodego lorda Actona, że władza deprawuje a władza absolutna deprawuje absolutnie. Temu niesłusznemu a dziś już doszczętnie zbanalizowanemu twierdzeniu można przeciwstawić mądre słowa Leona Straussa: "Powiedzenie, że władza jako taka demoralizuje, równałoby się powiedzeniu, że cnota jest zła czy demoralizująca. Jednych sprawowanie władzy demoralizuje, natomiast innych doskonali, zgodnie z powiedzeniem: sprawowanie władzy ujawnia oblicze człowieka". Wrogowie etosu państwa nie chcą uznać faktu, że tylko w zdemoralizowanym człowieku istnieje pokusa władzy absolutnej, władzy bez żadnych ograniczeń. Potępiając stosunki władzy, widząc świat podzielony na zdemoralizowanych władców i moralnie czystych poddanych nie chcą dostrzec, że to bezsilność i zależność demoralizują a bezsilność i zależność absolutna demoralizują absolutnie.

Etos państwa poddany zostaje krytyce przy pomocy kryteriów zaczerpniętych z etosu wspólnoty, w imię najwyższych wymagań moralnych. Miłość nie czyniąca rozróżnień podniesiona zostaje do rangi podstawowego obowiązku. Zarówno państwo jak i inne instytucje mają zostać przekształcone we wspólnoty moralne, społeczeństwo stać się ma socjalnym kościołem. Stosunki władzy są odcinane i potępiane w imię powszechnego, demokratycznego współuczestnictwa opartego na "komunikacji bez panowania", by użyć terminu wymyślonego przez Jerzego Habermasa-jednego z kardynałów nowej religii socjalnej.

Wszystkie instytucje władzy, wszystkie instytucje oparte na sile, hierarchii i autorytecie zostają poddane osądowi według

instancji moralnych charakteryzujących etos wspólnoty. Rozkaz i posłuszeństwo, służba i honor, wierność i obowiązek zastąpione zostają egalitarno - demokratyczno - humanitarną przedmoralnością.

Moralistyczny atak na państwo (a także na inne instytucje takie jak rodzina i własność prywatna) dokonywany za pomocą kryteriów i wartości zaczerpniętych z etosu solidarnej, braterskiej wspólnoty zwykły być przedstawiany przez jego strategów, taktyków, oficerów i szeregowców jako coś bezinteresownego i czystego, pozbawionego jakichkolwiek ukrytych celów. Ale sprawy polityki rozpatrywać należy spokojnie i bez uprzedzeń nie poddając się moralistycznemu szantażowi i obejmując podejrzeniem to, co intelektualny kler głosi ze swych prasowo - telewizyjno-universyteckich łabon. Ponieważ fałszywym jest wiara, że polityka może kiedykolwiek zniknąć, przeto ciągle moralizowanie należy widzieć jako pewien rodzaj uprawiania polityki. Pisał Henryk Morgenthau: "Polityka przemienia moralność w instrument politycznej dominacji". A wiele lat wcześniej stwierdzał Robert Michels: "W erze demokracji etyka jest bronią, którą każdy może się posługiwać". Tak samo zaczerpnięte z etosu wspólnoty nakazy miłości, solidarności i braterstwa stają się narzędziami walki o władzę jeśli przeniesione zostają poza sferę, w której w sposób naturalny obowiązują.

Arnold Gehlen pisze w "Moralności i hipermoralności" o czeskim filozofie chłopskim Chelickim, który żył w latach 1380-1460. Twierdził on, że każda władza łącie przykazanie miłości bliźniego i że ktokolwiek wydaje rozkazy nie może być prawdziwym chrześcijaninem. Trudno wyobrazić sobie bardziej radykalne odrzucenie etosu państwa i władzy, bardziej radykalną negację polityki w imię miłości. Ale jeśli nie skłania do ucieczki od świata, do zamknięcia się w pustelni to łatwo zamienić się w dążenie do zniszczenia polityki za pomocą nowej polityki. Moralistyczna agresja utoruje drogę nowemu układowi sił politycznych. Tego typu taktykę świetnie opisał baron Seillere w swych książkach o imperializmie. Słusznie widział on w takiej ideologii niesłychanie zreżymowany kamuflaż plebejskiego imperializmu czyli dążenie do władzy za pomocą odrzucenia każdej innej władzy (to samo można powiedzieć o anarchizmie). Inny przykład to przeprowadzona przez Jana Jakuba Rousseau krytyka cywilizacji demoralizująca rzekomo człowieka. Była ona w rzeczywistości atakiem na arystokrację-najbardziej cywilizowaną, a więc najbardziej zdemoralizowaną, a przez to pozbawioną moralnego tytułu do sprawowania władzy i równocześnie przeniesieniem tego tytułu na lud-najbardziej moralny bo najmniej cywilizowany. Russowska ideologia była zakamuflowaną formą plebejskiego imperializmu wykorzystaną przez ambitne jednostki z klasy rządzącej do walki o władzę. Podobnie podjęty w imię równości atak na hierarchię i stosunki władzy jest sposobem w jaki niektórzy ludzie pragną wejść do klasy wyższej.

Wilfryd Pareto wywodzi, że ci, którzy potępiają każde użycie siły w rzeczywistości pragną osłabić opór części klasy rządzącej aby oczyścić pole dla przemocy, której użyje jakaś inna grupa rządzących. To dlatego można powiedzieć, że Lew Tołstoj zapowiada bolszewików a pacyfistyczno-humanitarni intelektualiści Republiki Weimarskiej narodowych socjalistów. Walka bez przemocy głoszona przez Gandhiego w celu wywarcia presji na Brytyjczyków kończy się morzem krwi przelanym w rzeziach, w czasie których o "non-violence" mało kto pamiętał. Przeciwnicy kary śmierci oddają ją w ręce terrorystycznych trybunałów, sentymentalni humaniści nie chcą dostrzegać zła w przestępcy a lumpy i rzeziemiści kiwając z zadowoleniem głowami czekają cierpliwie aż będą mogli użyć instrumentów władzy dla mordu i rabunku. Słusznie pisał

Ernest Junger: "Po wegetarianach przychodzą kanibale".

Każda zasada, każda wartość zaczerpnięta z etosu wspólnoty, kiedy dostanie się w sferę polityki nabiera zwykle odwrotnego sensu. I tak na przykład "solidarność" to według Wilfryda Pareto chęć przekonania ludzi, którzy mają pieniądze aby podzielić się nimi ze zwolennikami polityka głoszącego hasło "solidarności". Innymi słowy chodzi o solidarność mojej ręki z kieszenią sąsiada. Podobnie należy widzieć wszystkie inne hasła poczęte rzekomo z ducha miłości i braterstwa.

Revolucja serc ma długą historię. Purytanie i hugenoci atakowali królów w imię Ewangelii udając, że nie wiedzą, iż, jak mawiał Kuzma Medyceusz: "Ludźmi nie rządzi się odawiając Ojciec Nasz". W dzisiejszych czasach, w erze demokracji, powszechnej edukacji i mass-mediów etos wspólnoty stał się ideologiczną podstawą, na której opiera się kapłańska władza intelektualistów. Socjologowie, teologowie, filozofowie, literaci, nauczyciele, redaktorzy, politolodzy, filmowcy, psychologowie, studenci, artyści, psychoterapeuci-misjonarze i kapłani nowej religii socjalnej poddają w wątpliwość zasadę autorytetu pragnąc w rzeczywistości obalić dawne autorytety i zastąpić je swoim własnym. "Komunikacja bez panowania" wieszczona przez Habermasa będzie polegała na tym, że Habermas będzie mówił a inni będą słuchać. Hierarchia i stosunki władzy pozostaną ukrywać się jedynie pod maską demokratyczno-egalitarnej retoryki. Ci, którzy twierdzą, że zrywają kajdany w rzeczywistości pragną być panami. Karol Schmitt pisał, że suwerenem jest ten, kto wprowadza stan wyjątkowy. Ideologowie etosu wspólnoty pragną zostać suwerenami poprzez wprowadzenie "moralnego stanu wyjątkowego". Chcą być fuhrerami wspólnoty ukrywając jednocześnie swoje wodzowskie aspiracje pod maską dobrośliwej łagodności.

Język etosu wspólnoty został w znacznej mierze przejęty przez polityków. Na etosie wspólnoty zbudowano nowe instytucje polityczne takie jak Liga Narodów, ONZ, które miały wyeliminować z polityki międzynarodowej stosunki siły (w rzeczywistości ukryły je), próbowano "uczułowić" państwo a upaństwowiono człowieka, chciano "umoralnić" politykę a upolityczniono moralność. Potępiono każdą wojnę, potępiono tajną dyplomację i tajne układy, zadeklarowano przyjaźń i wzajemne zrozumienie, ministerstwa wojny przemianowano na ministerstwa obrony, zwołano tysiące konferencji, szczytów i kongresów. Władcy uśmiechali się do kamery telewizyjnej. To o nich pisał Wilhelm Schläm: "Kto nie jest zdolny do prowadzenia wojny, ten pozostaje człowiekiem honoru ale tylko wówczas gdy nie stara się o patent oficerski. Kto jednak wspina się na pozycję siły by głosić tak sentymentalne brednie jest pozbawionym godności głupcem". Arnold Gehlen przypomniał nam, że gołąb-symbol pokoju i przyjaźni nie ma, o czym wiedzą ornitolodzy, żadnych zahamowań w zabijaniu przedstawicieli własnego gatunku. Jakby to paradoksalnie nie brzała możliwość jest bezsilnosy, agresywny humanitaryzm, miłość, która zabija, okrucieństwo czystej cnoty (co udowadnia choćby przykład Robbespierre'a). Nawet na miłości do przyrody można zbudować, jak to określa Gerd-Klaus Kaltenbrunner, bio-protekcjonistyczną dyktaturę.

Zatytułowałem swoje rozważania "Obrona Wielkiego Inkwizytora". Takiej obrony podjął się już 85 lat temu w książce "Granice wspólnoty. Krytyka radykalizmu społecznego" Helmut Plessner. I tam odsyłał wszystkich zainteresowanych odmienną interpretacją postaci stworzonej przez Iwana Karamazowa. Dla mnie obrona Wielkiego Inkwizytora oznacza tyle, że władza posiada własny wymiar moralny i własne cnoty, że, jak pisze Gehlen, także prawo silniejszego (czyli władza) może być płodne etycznie, że władza ma własny ból, własne cierpienia i własną martyrologię (sw. Robert Bellarmine pisał o królach noszących berło jak krzyż), o

których nic nie wiedzą ci, co jedynie słuchają rozkazów. Fryderyk Nietzsche twierdził, że rozkazowanie jest trudniejsze od posłuszeństwa gdyż ten, który rozkazuje dźwiga na sobie ciężar wszystkich tych, którzy są mu posłuszni. Dlatego Wielki Inkwizytor u Dostojewskiego mówi, że ci, którzy będą przewodzili ludziom i strzec tajemnicy będą nieszczęśliwi.

Obrona Wielkiego Inkwizytora to także uznanie faktu, że aby w ogóle działać a więc także aby działać dobrze nie można być bezsilnym i zależnym. Jakub Burnhan w książce "Machiawelliści-obroncy wolności" pisze, że wolność aby trwać potrzebuje siły, Gustaw Lebon uważa, że "sprawiedliwość zaczyna się w chwili, gdy mamy siłę aby ją narzucić". Brak władzy, mocy i siły mogą pozbawić człowieka możliwości czynienia dobra, tak samo jak bieda nie pozwala na uprawianie cnoty szczodrości.

Niekiedy dokonując rozrachunku z tym okresem komunizmu, który niezbyt trafnie określa się mianem stalinizmu, sięgają niektórzy po przykład Wielkiego Inkwizytora z powieści Dostojewskiego i próbują udowodnić, że to właśnie takie podejście do natury ludzkiej, polityki i władzy jest źródłem tzw. systemów totalnych. Ale taka interpretacja jest moim zdaniem całkowicie fałszywa. W rzeczywistości bowiem tzw. systemy totalne, omnipotencja ideologicznego państwa nie są skutkiem polityki liczącej się z rzeczywistością (czyli z diabłem), liczącej się z naturą ludzi-tych "nieukończonych twórców stworzonych ku szyderstwu" jak mówi Iwan Karamazow, polityki, która uznaje hierarchie, autorytet i tajemnice, ale wręcz przeciwnie tzw. systemy totalne są skutkiem rewolucji serc, rewolucji w imię miłości, w imię ducha wspólnoty, odrzucającej etos państwa, wrogiej wobec hierarchii i autorytetu, niszczącej instytucje. Realizacja wspólnotowych wartości przy pomocy polityki, totalna miłość wymaga bowiem ogólnej i arbitralnej wizji, która z kolei nie może się obyć bez brutalnej ingerencji w tkankę społeczną i w stosunki między ludźmi. To właśnie polityczni mistycy i doktrynerzy miłości, którzy nie chcą uznać, że człowiek ma skłonność do czynienia zła, że ruch ku upadkowi jest całkiem naturalny a chaos zawsze możliwy, pierwsi wytyczają drogę, na końcu której mającą gilotynę, gułagi i komory gazowe. Najgłębsi myśliciele polityczni wiedzieli to zawsze: 200 lat temu pisał Edmund Burke od Antoniego Rivarola "Ludzie, którzy dzisiaj wyrzucają najgorszych przestępców od wyroków sprawiedliwości, będą jutro mordować niewinnych", a Dionizy Cortès proroczo oznajmiał: "za sofizmami przychodzi rewolucja a za sofistykami kaci". To ci, którzy w imię miłości hołubią przestępców są odpowiedzialni za to, że władza wpada w ręce rzeźmieszków. To właśnie humanitarni moralisci ślepi na fundamentalne zasady polityki, życia społecznego i ludzkiego działania niszczą etos wspólnoty, który jak twierdzą chcieliby upowszechnić. Zamiast miłości mamy nienawiść, zamiast zaufania podejrliwość, zamiast otwartości i szczerości zakulisowe manipulacje. Chcieli prawdy i tylko prawdy a dostali jeszcze więcej kłamstwa. Tym utopistom nie pozostaje w końcu nic innego, tylko, jak pisze Ernest Jünger "świecenie czarnych aszy na zrujnowanych i zamieszkałych przez demony ołtarzach".

Każdy, kto słucha bardów moralnej hipertrofii i proroków nowej religii socjalnej niech pamięta wiersz Fryderyka Jerzego Jüngera:

"dobroć jest klejnotem
zdobiącym najtwardszych.
Przyjmij ode mnie to słowo:
Nie ufaj nikomu."

O fałszywej i prawdziwej prewencji

Gdy matka zabiera swoim dzieciom militarne zabawki—to wcale nie oznacza, że przestaną się one bawić w wojnę. Również rządy zakazujące obywatelom posiadania broni nie mogą zapobiec nielegalnemu użytkowaniu tejże, a tym bardziej popełnianiu przestępstw w ogóle.

Warto pamiętać, że władze wprowadzając prohibicję lub ograniczając posiadanie w tej dziedzinie, najczęściej czyniły to ze strachu przed obywatelami. Natomiast na użytek propagandy używano argumentu o korzyściach płynących z odebrania prawa do posiadania broni. Niestety w rzeczywistości taka forma prewencji po latach pokazała swą szkodliwość. Co prawda w Polsce rzadko dokonuje się zabójstw przy pomocy broni palnej, ale ilość popełnianych morderstw (500-600 rocznie) jest już alarmująca. W zaskakującym tempie rośnie liczba pospolicitych grabieży.

Państwo, które kiedyś uznawało, że rola stróża nocnego już mu nie wystarcza, nie może zagwarantować bezpieczeństwa swoim obywatelom, nie tylko w nocy ale i w dzień.

Co należy w takim razie czynić? Po prostu zastosować właściwą odmianę prewencji. Pozwolić aby ludzie sami mogli zapobiegać przestępstwom, m.in. zezwalając na prywatne posiadanie broni. Natychmiastową korzyścią tego posunięcia będzie zmniejszenie się poczucia bezpieczeństwa wśród przestępców. Obecnie napadają oni z reguły na bezbronne ofiary.

Pozostawiając prewencję jednostkom, zadaniem państwa było i jest ukaranie zbrodni. Oznacza to również, iż za niewłaściwe użycie broni obywatel może być pociągnięty do odpowiedzialności przed sądem. Gdy idzie o zakaz posiadania broni to może on wyjść tylko od sądu. Jest niedopuszczalne aby rząd wykorzystując precedensy (np. zabójstwa popełnione przy użyciu broni palnej przez szaleńców) wprowadzał arbitralne ograniczenia w posiadaniu broni. Trzeba w tej sprawie zawsze pamiętać o starej zasadzie mówiącej, iż nadużycie nie wyklucza użycia.

Przechodząc obecnie w Polsce do systemu, w którym rząd ufa swoim obywatelom, potrzebne jest stopniowe udostępnianie ludziom prawa do posiadania broni. Zacząć należy oczywiście od ludzi zamożnych, którzy zdobyli już znaczny majątek. W sytuacji, która się wytworzyła (słabość policji, szeroka amnestia) są oni najbardziej zagrożeni ze strony przestępców. Pozostali ludzie powinni mieć z czasem prawo do kupowania broni—jeżeli tylko sobie tego życzą.

Osobnym zagadnieniem jest handel bronią. Ale i to wiadomo z góry, że monopol państwa będzie na dłuższą metę nie do utrzymania.

Nikt nie może zagwarantować ludziom pełnego bezpieczeństwa. Jednakże liberalizując system zezwoleń i sprzedaży broni możemy dać zagrożonym jednostkom możliwość legalnej samoobrony. Z doświadczenia wiadomo, że nie ma lepszej prewencji niż samoobrona.

Aleksander Popiel

Do broni!

Rada Główna Unii Polityki Realnej wypowiedziała się ostatnio za liberalizacją przepisów regulujących posiadanie broni palnej przez osoby prywatne. Rada nie odwoływała się przy tym do ogólnych zasad wolności (do czego miała oczywiście prawo) ale wskazała na całkiem realne zagrożenia dla życia, zdrowia i mienia spowodowane nieodpowiedzialną polityką oderwaną od rzeczywistości doktrynerów humanitaryzmu (manipulowanych zapewne przez pozostaujące na razie w cieniu siły wyrotu i rewolucji).

Chciałbym zwrócić uwagę na kilka spraw związanych z prawem do swobodnego posiadania broni.

Nie ma żadnych dowodów na to, że przepisy ograniczające kupowanie, posiadanie i używanie broni palnej przyczyniają się do zmniejszenia przestępczości. W USA wbrew popularnemu przekonaniu, że jest to kraj respektujący prawo do posiadania broni, istnieje ponad 20000 stanowych i lokalnych przepisów i ustaw ograniczających to prawo.

W 1968 roku podjęto też inicjatywę ustawodawczą na szczeblu federalnym, której rezultatem był tzw. Gun Control Act, poddający kontroli niedzystanowy handel i transport broni palnej oraz import broni nie posiadającej certyfikatu. Choć wspierana tysiącami lokalnych przepisów, ustawa ta w żadnej mierze nie utrudniła dostępu do broni palnej. Od końca lat 60-tych notowano stały wzrost liczby zabójstw a ilość napadów rabunkowych z bronią w reku wzrosła do połowy lat 70-tych o 60%.

W Nowym Jorku, Waszyngtonie, Detroit, Chicago mieszka 6% populacji żyjącej w USA a równocześnie popelnia się tutaj prawie 1/4 morderstw z użyciem broni palnej. Wszystkie te miasta mają ustawy silnie utrudniające posiadanie broni palnej. Najbardziej prohibicyjne przepisy w kraju ma Nowy Jork i to już od 1911(!) roku.

RFN wprowadziło bardzo ostre przepisy dotyczące posiadania broni w 1973 roku. Szacowano wówczas, że w rekach prywatnych znajduje się od 17 do 20 mln sztuk broni palnej. Ale w 1978 roku po zaprowadzeniu nowego systemu rejestracji broni zgłoszono do rejestracji jedynie 3,2 mln sztuk, co oznacza, że 80% broni znajdującej się w obiegu w Niemczech Zachodnich to broń posiadana nielegalnie. Jedyńm widocznym skutkiem wprowadzenia bardzo restrykcyjnych przepisów było to, że w latach 1972-78 z magazynów broni policji, staży granicznej, armii niemieckiej i NATO skradziono 242 pistolety maszynowe, 363 automatycznych i pół-automatycznych karabinów i 1142 sztuki broni krótkiej.

Przeciwnieństwem RFN jest Szwajcaria-kraj, gdzie licząca 650000 mężczyzn milicja trzyma swoją służbową broń i amunicję w domu. Poza tym w obiegu znajduje się około 600000 pełnoautomatycznych karabinów i 2 mln karabinów innych rodzajów. Szwajcaria jest krajem o największym zakresie swobody w posiadaniu broni na świecie. Nie ma tam faktycznie żadnego ogólnego systemu licencjonowania broni palnej. Ilość przestępstw z bronią w reku utrzymuje się na minimalnym poziomie.

Obserwacja potwierdza więc, że restrykcyjne przepisy są nieskuteczne i że posiadanie broni nie zwiększa liczby przestępstw. Co więcej, zmniejsza ją, gdyż przestępcy, co zrozumiale, atakują przede wszystkim tych, o których wiedzą, że są bezbronni.

Większa swoboda w dostępie do broni palnej musi pociągać za sobą prawa surowo karzące przestępców działających z bronią w reku i bez żadnego pobłażania stosowane przez sądy. Słusznie

napisał kiedyś p. Barry Goldwater, iż rzecz nie w kontroli broni ale w kontroli jej użytkowników łamiących prawo. Nie jestem prawnikiem ale sądzę, że przestępca używający broni powinien automatycznie dostawać od 5 do 10 lat więzienia ponad to, co grozi mu za samo przestępstwo. Większa wolność to większa odpowiedzialność.

Inicjatywę Unii Polityki Realnej uważam za absolutnie uzasadnioną. Nie można dopuścić do tego, żeby uczciwi obywatele byli terroryzowani przez uzbrojonych często wrogów społeczeństwa.

Juliusz Kot

Nieobecni mają rację

Słyszysz się ostatnio wiele głosów krytykujących posłów i senatorów za ich nieobecność na posiedzeniach parlamentu. Zauważyłem sam, że obrady Senatu przeniesiono do mniejszego posiedzczenia, gdyż przybyła tylko połowa senatorów i uznano zapewne, że pokazywanie w telewizji tak małej grupki obradującej w jakiejś wielkiej sali robiłoby na widzach niekorzystne wrażenie.

Osobiście uważam, że mniejsza liczba posłów i senatorów to rzecz bardzo korzystna dla biegu spraw państwowych. Gustaw LeBon pisał w "Psychologii tłumu": "Ustrój parlamentarny jest ideałem niemal wszystkich cywilizowanych narodów, a moc swoją czerpie z błędnego, ale powszechnie przyjętego poglądu psychologicznego, że znaczne grono ludzi posiada więcej kwalifikacji do powzięcia uchwały rozumnej i niezależnej aniżeli szczuplejsza garstka". I dalej: "Zgromadzenia parlamentarne mają wszystkie charakterystyczne właściwości tłumów: prostotę poglądów, podatność na sugestie, przesadę w uczuciach i decydujący wpływ przywódców". Może niekiedy doprowadzić do tego, że "zgromadzenie parlamentarne zahipnotyzowane pewną ideą staje się niespokojnym stadem, idącym za każdą podniecią". Jest rzeczą oczywistą, że te właściwości zgromadzeń parlamentarnych zanikają wraz z malejącą liczebnością zgromadzenia. Oznacza to, że posłowie i senatorowie nieobecni na posiedzeniach wydają społeczeństwu wielką przysługę. Najlepiej byłoby, gdyby na obrady zjawiała się ciągle ta sama garstka mogąca zmieścić się w niezbyt dużym gabinecie. Tam w ciszy i spokoju bez telewizyjnych kamer mogliby uchwalić coś sensownego i pożytecznego. Gabinetowa polityka uprawiana bez udziału publiczności mogłaby ujawnić swoje zalety. Dlatego zachęcam posłów i senatorów do jak najrzadszego przychodzenia na obrady parlamentu. To najlepsze, co mogą uczynić dla kraju.

Tomasz Gabis

Powrót na scenę

*"Przez zbrodnie kraju wielu jest władców
lecz ktoś mądry i roztropny trwały ład zapewni"*

Prz. 28,2

Wiek XX będzie z pewnością określony jako okres, w którym dyktatury przeplatają się z demokracjami. Do kogo będzie należała

przyszłość? Być może odpowiedzi na tę zagadkę dostarczy Brazylia. Odtąd po uchwaleniu poprawki do konstytucji Republiki Federalnej Brazylii 7.09.1993 roku odbędzie się referendum nad przyszłym ustrojem kraju. Głosujący będą musieli wybrać między republiką i ... monarchią. Skąd ta monarchia?

W minionym stuleciu w Brazylii funkcjonowała republikańska forma rządów. Ale trzeba pamiętać, że oddzielenie Brazylii od Portugalii nastąpiło w 1821 roku i władzę w niepodległym kraju objął wówczas cesarz Piotr I. Jego panowanie trwało do 1831 r., kiedy to abdykował na rzecz swojego syna, późniejszego Piotra II. Następca rządził całe 58 lat. Obalenie monarchii w 1889 r. otworzyło /puszkę Pandory/ okres burzliwych zmian. W ciągu ubiegłych 100 lat w tym kraju było 19 zamachów stanu.

Jako naturalna reakcja na okres niestabilności władzy pojawiają się dążenia do przywrócenia stabilności jaką uosabiają czasy monarchii. Czy obywatele Brazylii są przekonani, że jako cesarstwo kraj "odzyska godność, poważanie, stabilność i prawotę"? Przekonamy się o tym za trzy lata. Już teraz widać iż rezygnując z monarchii Brazylijczycy postąpili jak ów stryjek co to zamienił siekierkę na kijek.

/ap/

MIKOŁAJ G.DAVILA ^x

A FORUM

Pod wpływem postępowego kleru jest religia nie opium, lecz trucizna dla ludu.

"Historyczna konieczność" jest określeniem ostatniej metamorfozy, jaką przeszedł żądny krwi aztecki bóg.

Ojczyzna jest -pozostawiając na boku nacjonalistyczną gadaninę-tylko tą przestrzenią, którą człowiek ogarnia wzrokiem, kiedy wejdzie na wzgórze.

Dziedziczenie jest jedyną ekonomiczną instytucją, która uniemożliwia oddanie się chciwości.

Jeśli demokracja oparzy się o palec, to jedyne co mu przychodzi do głowy, to zażądać ustawy nakazującej obcięcie wszystkich rąk.

Współczesne państwo jest pedagogiem, który nigdy nie przyznaje swym uczniom świadectwa dojrzałości.

Zadna bajka nie zaczyna się tak: Dawno, dawno temu był sobie prezydent...

Poważne jest to, co poważni ludzie uznają za zabawę.

Poniżenie jest dziś ceną braterstwa.

Gdy celem rządzących jest szczęście obywateli, społeczeństwo staje się na wpół wiezieniem i na wpół przytułkiem.

Kto wszystko wybacz, ponieważ wszystko rozumie, ten nic nie zrozumiał.

Demokrata przypisuje swoje błędy okolicznościom.
My jesteśmy wdzięczni przypadkowi za nasze sukcesy.

Demokracje dzielą się na takie, które uważają perwersje za uleczone i takie, które zaprzeczają ich istnieniu.

W sprawach intelektualnych nie ma bardziej podejrzanego sprzymierzeńca niż wróg naszego wroga.

Alarmującym symptomem dekadencji jest zanik obłudy.

Cnota stała się mniej rzadka niż dobre wychowanie.

W klimacie uniwersalnej tolerancji wszystko rodzi się martwe.

Lud wierzy w bezinteresowność swoich zawodowych dobroczyńców,
dopóki ci nie pokażą mu rachunków.

Demokracie nie wystarcza, że respektujemy to, co on chce zrobić ze
swoim życiem. Żąda ponadto, abyśmy respektowali to, co chce
uczynić z nami.

Kultura żyje, gdy jest spędzaniem czasu, umiera gdy jest zawodem.

Gniew głupców jest mniej straszny niż ich filantropia.

Głupota jest materiałem napędowym rewolucji.

Intelektualista nie wie nic, on jest ze wszystkim na bieżąco.



KRAWATY

z materiałów egzotycznych i krajowych

*Najlepsze na wschód
od Łaby*

Warszawa • • ulica SOLEC 50

Mienkowski



PISMO LIBERAŁÓW - WARSZAWA

KOMENTARZ...

Ziemia trzesie się pod nogami. Niemal dokładnie tak, jak przewidywałem w komentarzu do wydanej w 1980 roku przez "OFICYNE LIBERAŁÓW" książki Aleksandra Trzaski-Chrząszczewskiego, w 70 lat po rewolucji lutowej zaczyna się Wiosna Ludów - po której - tak jak po rewolucji francuskiej - nadejdą czasy reakcji i otworzy się droga do La Belle Epoque. Właściwie: w Polsce rozpoczęło się punktualnie, natomiast w innych demo-ludach zanotowaliśmy pewne opóźnienie. Niestety, nie wszystko w historii działa jak w zegarku.

W Czechach i na Morawach - ale zwłaszcza w Czechach - niewatpliwie lewicujaca "Karta 77" z całkiem lewicującym pisarzem, p. Wacławem Hav'lem usiłuje przechwycić nurt protestu - i skierować go na tory dla socjalizmu niegroźne. Ot - protest przeciwko wypaczeniom. Teraz to i owo się naprawi, przywróci do władzy p. Aleksandra Dubczeka (jego alt skrzętnie się odkurza) - po czym KPCz albo jakaś lewicowa anty-KPCz będzie mogła porządzić jeszcze parę lat.

W NRD i Berlinie Wschodnim - to sam, lub prawie to samo. Nie było tam "Praskiej Wiosny" i uznanych opozycjonistów - no, to utworzono "Nowy Front".

Sasił i Prusacy nie są jednak - wbrew pozorom - tak głupi. Być może dlatego, że pilnie oglądali TV z Bundesrepubliką, a tam jednak coś-niecoś prawdy można usłyszeć. Szybko więc dostrzegli, że "Nowy Front" to po prostu... dzieci aparatczyków. Był on głośny i hałaśliwy - i bardzo aktywny - po prostu dlatego, że tatusiowie nie przeszkadzali. Oczywiście lud nie ma nic przeciwko królewietom - pod warunkiem wszakże, że ci zmieniliby idiotyczną politykę Starego Króla. "Nowy Front" zaczął jednak mówić nowo-mowa (t.j. - właściwie staro-mowa) - no i zaczyna szczęśliwie tracić kredyt zaufania u naszych wschodnich sąsiadów.

U nich zresztą bałagan gospodarczy przypomina skrzyżowanie reformy p. Rakowskiego z anarchią pierwszych dni po wojnie - stad wściekłość i próby zrzućcia winy za zaburzenia na... Polaków. Jest, oczywiście, prawda, że nasi dzielni rodacy robili i robią na tak niezwyklej okazji niezłe interesiki - jednak wobec znikomej ich liczby trudno przypisać temu większe znaczenie gospodarcze. Denervują - to fakt. Jeśli jednak obywatele enerdówka będą tak reagować na kapitalizację - to sędzę, że zjednoczone gospodarczo i

społecznie Niemcy uczynia dalszy krok w kierunku... socjalizmu. Co jest chwilowo niezłe (sasiad - socjal to słaby sasiad, a słaby sasiad to dobry sasiad) - ale też trzeba pamiętać, że etatyzacja wzmacnia nastroje militarystyczne (porównajmy NRD i RFN!) - a zania Niemcy zdiadzieja na tyle, by stać się słabszym od Polski, to mogą się jeszcze solidnie dobrać do skóry - tym bardziej, że nie stać nas obecnie na wielki wysiłek wojskowy.

Prorokuje tu, że partia Republikanów, dataca do 20% w RFN, szybko utworzy filię w NRD i uzyska większość... Ale byłby dowcip - dla socjalistów w RFN! Zresztą: w NRD istnieje jej szkieletowy odpowiednik: NNDP. Wystarczy tylko zdemokratyzować jej struktury i odejść od zasady przyjmowania tylko byłych NSDAP-owców...

Wściekłość na Polaków przypomina średniowieczne bunty w Polsce przeciwko panowaniu niesieckiego, bogacącego się, napływowego mieszczaństwa. Z tym, że wówczas trwał napór narodu niesieckiego na Wschód - obecnie zaś trwa napór narodu polskiego na Zachód. Przyczyna jest, oczywiście depopulacyjna polityka rządów wszystkich państw niemieckich (i ogólniej: zachodnioeuropejskich) i częściowo zapobieżenie takiejże polityce w Polsce przez kościół katolicki.

O ile polscy lewicowcy bronią socjalizmu potępiają (szczerze lub nieszczerze - to obojętne) socjalizm - o tyle p. Wacław Havel (vide: "Rzeczpospolita" z 04.12.89 r.) oświadczył, że "nie jest przeciwko komunizmowi, lecz przeciw totalitarynemu sposobowi sprawowania władzy". Po czym, oczywiście, leci alchimiowska fraza, że słowo "socializm" straciło sens.

Podobnie i Węgrzy. Szef "opozycyjnego" Forum Demokratycznego zaproponował (vide "Gazeta Familijna" - d. "Wyborcza" 05.12) po wyborach koalicję z ... tak, oczywiście: z Węgierską Partią Socjalistyczną, czyli zreformowaną partią komunistyczną - partią, która w dodatku przywłaszczyła sobie lokale i inne dobra b. partii komunistycznej... bez jej rozważania !!!

Wydać się, że Polacy w większości (głównie wskutek poparcia jakie "Solidarności" udzielił Kościół Katolicki) nadal uważają "S" za zgrupowanie anty-socjalistyczne. Ale to już się kończy!

Tak więc w NRD, Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech obserwujemy chytry manewr lewicy, która pod płaszczykiem "walki z komunizmem" usiłuje opanować opinię publiczną. Podobnie w ZSRR, gdzie najgłośniejsza w środowiskach masowego rażenia jest grupa p. prof. Andrzeja Sacharowa, braci Miedwiediew itp. Jednakże i tam na ulicach dominuje raczej "PAMIAT" niż neo-socjaliści. W prasie, rzecz jasna "PAMIAT" nie istnieje, bo Lewica uważa, że to, o czym ona nie wie lub nie pisze - to się nie liczy. Sadzę, że powrót do Rosji p. Aleksandra Solżenicyna mógłby unormować sytuację, gdyż ten wielki pisarz jest niewątpliwie narodowym konserwatystą i mógłby postulat "PAMIAT"-i przedstawić w sposób strawny dla europejskiej opinii publicznej.

Trudno wydać jakąś opinię o opozycji bułgarskiej i Rumuńskiej. Były tam ongiś silne partie chłopskie - i wydaje się, że zaczynają się odradzać: łatwiej im to przyjdzie w Bułgarii. Co do Rumunii - wydaje się, że jej los jest przesadzony... Najprawdopodobniej nastąpi neutralizacja Banatu i Siedmiogrodu, być może neutralizacja Mołdawii i mołdawskiej części Besarabii, być może wraź z Bukowina, być może neutralizacja strategicznie ważnej Dobruży. Nie jest wykluczone, że na Wołoszczyźnie utrzyma się reżim post-ceauseskowski.... Wołosi są dumni z Bukaresztu i stosunkowo najmniej dotknięci absurdalną polityką rolną i gospodarczą.

Kompletna klęska zakończyła się wizyta p. Tadeusza Mazowieckiego, naszego Premiera w Moskwie. Nie załatwił NIC (poza tym, że na żadną propozycję "nie otrzymał definitywnej odpowiedzi odmownej" - jak ogłosił komunikat), i nawet nie zdołał wypełnić

tych paru dni nawiązywaniem kontaktów, gdyż musiał poświęcić jeden wieczór na tańce z p. Rzecznik. Jednocześnie coraz bardziej prawdopodobna wydaje się być pogłoska, że sprawa Katynia pozostaje niewyjaśniona nie z powodu obawy strony sowieckiej - lecz dlatego, że z dokumentów wynika, iż motorem - a przynajmniej czynnikiem zachęcającym - była osoba z kręgu polskich kumunistów; i to jest właśnie tajemnica, której obie strony w gruncie rzeczy nie chcą wygrzebać z archiwów KGB.

Po Rumuni i Polsce trzecim zagrożonym państwem jest Jugosławia. Wszystko zależy od stanowiska Chorwacji. Jeśli weźmą oni - a prawie na pewno wezmą, choćby z uwagi na silny antagonizm z Serbami Stronę Słoweńską - to nie nie powstrzyma rozpadu Jugosławii na Słowenię, Chorwację (z Dalmacją) oraz Serbię (z Czarnogórą, być może Bośnią, i Hercegowiną, być może Wojwodiną, czyli pld. Banatem). Nie łatwo określić, co stanie się z Macedonią oraz z określeniem Metohija. Niewątpliwie przyłączenie go do Albanii rozbiłoby w puch post-hodżański reżim w Tiranie...

W każdym razie sytuacja na Bałkanach jest niestabilna - i najprawdopodobniej szybszym wydarzeniem jest powszechna wojna wszystkich przeciwko wszystkim - jak to już było przed stu laty. Dodajmy jeszcze antagonizm Macedoński - grecki, grecko - turecki itp. - i otrzymamy bezce bezce prochu.

Szukająca informacja jest zaproszenie na Węgry Ottona ks. Habsburga. Arcyksiążę jest posłem do Parlamentu Europejskiego, zdecydowanym wolno-rynkowcem i... jak dotąd ma zakazany wstęp do Austrii. Jako potomek rodziny Cesarzkiej i dziedzic praw do podwójnej Korony. Ciekawe, że Węgrzy się nie boją - i ciekawe, że coraz częściej mówi się o neutralizacji Węgier i ich unii z Austrią. Silne wolnorynkowe cesarstwo w środku Europy? Winston Churchill twierdził, że gdyby Austro Węgier nie było, to należałoby je stworzyć (i zawsze biadał nad ich upadkiem). Czyżby?

Jest to koncepcja podobna do Intermarium, o którym od dziesiątków lat marzą Polacy. Co prawda: zawsze myśleliśmy, że to Polska będzie ogniskiem krystalizacji. Jednak oś Budapeszt-Wiedeń jest geograficznie i ludnościowo niewątpliwie właściwsza. Gdyby była szansa powstania takiego bloku obejmującego narody katolickie od Kaszubów po Dalmatynczyków (czyli Polskę, Czechosłowację, Węgry, Austrię, Siedmiogród, Chorwację i Słowenię), z neutralnym językiem państwowym (najlepiej angielskim) i zagwarantowaniem praw poszczególnych narodów - to trzeba do tego pociągu wskakiwać. Rzecz jasna agenci Berlina i Moskwy będą temu przeciwdziałać wszelkimi siłami.

Tyle o Europie. Poza tym należy odnotować, że Stany Zjednoczone od lat gwałcące pieniądze i wpływały niepodległości Filipiny tym razem zaangażowały się wojskowo po stronie p. "Serdenko" Aquino i pomogły zdusić powstanie przeciwko Niej. Bezcie to gwóźdź do trumny tej pysznej kobiety - ale przy okazji pokazało się, jak kłamliwe były zapewnienia Lewicy, że Stany Zjednoczone popierają Marcosa. Za p. Kubusia Cartera USA zwalczały Marcosa, za p. Ronaldę Reagana były neutralne - a za p. Jerzego Busha znów zwalczały siły pro-marcosowskie. Niestety, p. Bush nie dorasta p. Reaganowi do pięt.

Jednak coraz więcej ludzi dostrzega prawdę. Bunt przeciwko Lewicy jest powszechny. To tylko kwestia czasu. Raczej miesiące niż lat.

Komentator

PS.


Pisałem ten komentarz 3 grudnia. W międzyczasie sprawa nabierała tempa. P. Waclaw Havel zgłosił się już na prezydenta Czechosłowacji (!!!!) - natomiast i sekretarzem odnowionej partii NRD-owskiej został p. Grzegorz Gysi, członek gminy żydowskiej

(?? gdzie się taki uchował w NRD, w której za koneksje z dowolnym kościołem wywalano z partii??!!?) - najniewatpliwiej popularny lewicowiec.

Pan Gysi bronił "Nowego Forum" w czasie, gdy zarzucano jeszcze tej organizacji anty-państwowość - donosi "Gazeta Familijna". Podała też, że p.Gysi cieszy się poparciem 95% społeczeństwa. Biorąc pod uwagę, że 99% społeczeństwa dwa dni wcześniej nie słyszała zapewne nic o p.Gysiu - można tylko podziwiać sprawność z jaką socjaliści wschodnio-niemieccy spopularyzowali tę postać (może się założyć, że nie bez współpracy TV z Niemiec Zachodnich).

Co prawda informacje "familijnej" o "95%-owym poparciu" mogą być tyle samo warte, co jej informacje o zakończeniu buntu na Filipinach... Tak czy owak; karuzela się kręci, socjalizm znowu chce wskoczyć w siodło.

K.



*Każdy kto szczerze kocha Niemców
powinien się cieszyć z tego, że
sa przynajmniej dwa państwa nie-
mieckie.*

Z ust ludzi, którzy deklarują się jako przyjaciele Niemców, coraz częściej słyszy się zdanie, że Niemcy powinny być zjednoczone, w dodatku dla uzasadnienia słuszności tej tezy usłyszeć można argumenty natury "historycznej".

Człowiek oczy przeciera, własnym uszom nie wierzy i zastanawia się czy ignorancja historyczna w naszym narodzie tak już daleko się posunęła, że nie znamy historii naszych zachodnich sąsiadów.

Nie trzeba przeprowadzać głębokich studiów historycznych, żeby wiedzieć, że przez długie wieki pluralizm państwowy był podstawowym rysem niemieckiego życia politycznego. W epoce przednapoleońskiej Niemcy mieli 30 państw posiadających ponad 100 tys. ludności, 250 księstw świeckich i kościelnych, 50 cesarskich wolnych miast, 1500 posiadłości rycerskich stanowiących lenna cesarskie.

Napoleon usiłował narzucić Niemcom zjednoczenie w postaci Związku Reńskiego, ale też wielu członków narodu niemieckiego przeciwstawiło się mu z bronią w ręku.

po 1815 roku Niemcy posiadali 34 państwa i 4 wolne miasta, dopiero pruski pod rządami Bismarcka zaczęły się narzucać Niemcom jedność.

Pluralizm państwowy stanowił wielki urok Niemiec i działał stymulująco na rozwój ich nauki, kultury i sztuki. przed - bismarckowskie Niemcy były ojczyzną wielkich naukowców, pisarzy, architektów, wynalazców.

Chyba nawet Bismarck zdawał sobie sprawę z tego, jak istotne dla kultury niemieckiej - zwłaszcza zaś kultury politycznej - ma pluralizm państwowy, gdyż w stworzonej przez niego Rzeszy pozostawiono wiele jego elementów.

Istniejąca w okresie 1871-1917 r. Rzesza była federacją 26 państw. W okresie pokoju cesarz niemiecki nie był nawet

zwierzchnikiem całej armii niemieckiej. Wojskowe sprawy personalne, jak również uprawnienia sadowe właściwego dowódcy należały do królów suwerennych krajów związkowych. Obok Wielkiego Sztabu Generalnego Prus istniał Bawarski Sztab Generalny. Obok armii pruskiej istniały odrębne armie: bawarska, wirtenberska i saska. Obok pruskiego Ministerstwa Wojny działały analogiczne ministerstwa innych krajów Rzeszy. W cywilnych dziedzinach życia państwowego autonomia poszczególnych krajów Rzeszy była rzecz jasna nie mniejsza niż w sferze wojskowej.

W okresie Republiki Weimarskiej również zachowano wiele elementów autonomii poszczególnych krajów niemieckich - np. do 1933 r. dywizja Reichswehry stacjonująca w Bawarii posiadała pewną autonomię, a po objęciu władzy przez Hitlera Hermann Goring był początkowo premierem Prus.

Dopiero Adolf Hitler sila przeprowadził całkowite zjednoczenie Niemiec, znosząc wszelkie elementy autonomii poszczególnych krajów niemieckich, kierując się zasadą: "Ein Volk, ein Reich, ein Führer".

W tym zjednoczonym przez Hitlera państwie niemieckim zahamowany został rozwój niemieckiej kultury i nauki, wybitni twórcy musieli szukać schronienia za granicą, a dzieła wybitnych niemieckich pisarzy publicznie palono. Zjednoczenie Niemiec pod władzą Hitlera było tak totalne, że każdy, kto nie chciał mu się bezwzględnie podporządkować był prześladowany, a niejednokrotnie nawet mordowany. Hitleryzm stanowił całkowite zaprzeczenie tradycyjnego niemieckiego pluralizmu państwowego.

Przeprowadzone przez Hitlera zjednoczenie Niemiec doprowadziło je do katastrofy - podczas II wojny światowej zginęło 3 miliony 250 tysięcy Niemców, a 7 milionów 250 tysięcy odniosło rany. Zniszczeniu uległa też niemiecka gospodarka.

Po katastrofie wojennej, nauczeni smutnym "zjednoczeniem" doświadczeniem Niemcy wrócili w pewnym stopniu do dawnej tradycji pluralizmu państwowego - powstały dwa suwerenne państwa niemieckie, a w RFN wrócono do tradycji autonomii poszczególnych krajów. Ten pluralizm państwowy - podobnie jak niegdyś w historii - dał Niemcom dobrobyt, doprowadził do rozwoju ich gospodarki, nauki, kultury i sztuki. Dziś każde z dwu suwerennych państw niemieckich posiada liczący się w obrebie swego bloku potencjał gospodarczy, naukowy i kulturalny, nie mówiąc już o militarnym.

Niemcy są wielkim narodem, który wniósł do kultury światowej wiele cennych wartości. Zdarzało się jednak w ich historii, że opanowywała ich dążność do zjednoczenia i ujednolicania (słynne gleichschaltung) - wówczas najpierw sami niszczyli swój tradycyjny pluralizm państwowy, a potem usiłowali własne ujednoliconie formy narzucać innym, prowadziło to rzecz jasna do katastrof wojennych, w trakcie których nie tylko inne narody, ale i sami Niemcy ponosili wielkie straty i doznawali wielu cierpień, tak było podczas I i podczas II wojny światowej.

Kiedy dziś słysze, że Niemcy znowu chcą się zjednoczyć i niszczyć swój pluralizm państwowy poważnie obawiam się by znów nie zniszczyli tego co sami przez ostatnie ponad czterdziści lat zbudowali, by znów nie oderwali się od swej pluralistycznej tradycji, sprowadzając na siebie i innych nowe nieszczęścia. Każdy prawdziwy przyjaciel Niemców powinien ich przed tym przestrzegać.

Józef Konsecki

NIEMCY

Jak już wielokrotnie pisałem, dla konserwatysty nie istnieje problem "zjednoczenia Niemiec". Ważne jest: by ludność Niemiec miała prawo do swobodnych podróży, przewożenia rzeczy, życia pod prawem w miarę rozsądnym i naturalnym, wychowania dzieci wedle chęci, handlu, produkcji itp. swobod. Kwestia państwa - to sprawa polityki, a nie pryncypiów. To samo stanowisko zajmuje również - by nie było wątpliwości - w sprawie rozbiórów Polski!

Teoria i praktyka dowodzą, że rozbiście Niemiec było dla Europy Środkowej (i dla Niemiec!!!) bardzo korzystne. To w t e d y kwitła niemiecka kultura, sztuka i technika. Natomiast zjednoczenie Niemiec przyniosło zawieruchę w Europie i k l e s k i Niemiec.

Jeśli jednak z przyczyn psychologicznych mamy zlaść tezę Lorda Actona (nawiasem pisząc, raczej Niemca niż Anglika!), że zniesienie, iż narodowość winna tworzyć państwo, jest przeżytkiem epoki barbarzyństwa - i musimy odbudować zjednoczone Niemcy, to rzecz niesłychanie ważna jest, by nastąpiło to na bazie k o n f e d e r a c j i - a nie zasilenia potężnego jednolitego organizmu Bundesrepublikii militarystycznym sercem Prus! Dlatego pozwalam sobie przedłożyć następujący plan zjednoczenia Niemiec - alternatywny wobec planu p. Helmuta Kohla. Plan ten zakłada coś więcej, niż Zollverein - i uwzględnia obecne realia militarne. Być może jego przyjęcie miłoby uratować chwiejną się równowagę?

Plan "IV Rzeszy"

1. Tworzy się Rzeszę Niemiecką. Rozwiązuje się NRD i RFN.
2. W skład Rzeszy wchodzi następujące kraje:
 - a/ Badenia, Bawaria, Brema, Dolna Saksonia, Hamburg, Hesja, Nadrenia, Palatynat Renu, Saara, Szlezwik-Holsztyn, Westfalia, Wirtembergia
 - b/ Berlin
 - c/ Brandenburgia, Łużyce, Meklemburgia, Saksonia, Turyngia
3. Za wyjątkiem przypadków przewidzianych w pp. 4, 5 i 6 poszczególne Kraje mają prawo prowadzić własną politykę, nie wolno im jednak w jakikolwiek sposób ograniczać lub uniemożliwiać przepływu ludzi bądź towarów (z wyjątkiem żołnierzy w służbie czynnej i materiałów wojskowych) między krajami rzeszy.
4. Kraje wymienione w p. 2/a pozostają w Organizacji Paktu Pn-Atl: na takich samych warunkach, jak RFN; kraje wymienione w p. 2/c pozostają w Pakcie Warszawskim na takich samych warunkach, co NRD. Berlin pozostaje pod okupacją SII Sprzymierzonych Mocarstw.
5. Związki wojskowych układów międzynarodowych wymagają wspólnej zgody Władz danego Kraju i Władz rzeszy.
6. Ograniczenia w przepływie ludzi i towarów przez granice Rzeszy oraz kwestie sporne między krajami Rzeszy należą do kompetencji Władz Rzeszy.
7. Władzami rzeszy są: Prezydent, Reichsrat, Reichstag oraz Sad Najwyższy RFN.
8. Reichsrat i Reichstag składają się początkowo z posłów do Bundestagu i Volkskammer, oraz członków Bundesratu i członków Volkskammer delegowanych przez nią do Reichsratu na zasadzie proporcji. Reichsrat i Reichstag zbierają się w Magdeburgu i

ratyfikują Układ Poczdamski jako Traktat Pokojowy z Państwami Sprzymierzonymi, potwierdzając nienaruszność granic sąsiadów Rzeszy

9. Bezwzględnie po ratyfikacji Państwa Sprzymierzone uznają Władze Rzeszy, znoszą okupację Berlina, a Reichsrat i Reichstag wybierają Prezydenta Rzeszy.
10. Wszelkie niepodzielne zobowiązania RFN i NRD przejęte zostają przez Rzeszę - natomiast podzielne przez poszczególne Kraje, proporcjonalnie do liczby ludności.

Niewątpliwie podobne plany snują niemieccy konserwatyści. Módlmy się - bez większych szans wysłuchania ... - by w rezultacie narad Ambasadorów Czterech Mocarstw urodziło się raczej coś takiego - niż to, co planuje p. Bundeskanclerz!

Janusz Korwin-Mikke

Kto kogo?

Korespondencja własna z USA

Na mocy tzw. Legislative Reorganization act z 1970 roku nastąpił zasadniczy transfer decyzji i odpowiedzialności na Capitol Hill z rak senatorów i członków Izby na rzecz nieznanych szerzej, nie pochodzących z wyboru, ukrytych za papierosowym dymem kuliuarów i kuloodpornymi szybmami Cadillaców - merytokratów: doradców i sztabowych inżynierów na usługach Wybrańców Narodu.

Ta centralna acz niewidzialna klasa polityczna powiązana jest tysiącami nici z przebiegłymi reprezentantami grup specjalnych interesów świata biznesu, związków zawodowych i mass-mediów. To ona - nieuchwytna i nieodpowiedzialna, wszedobytyska i niezwykła decyduje dzisiaj o losie Ameryki, o jej prawach i wolnościach, o jej budżecie i jej polityce. Od czsu wejścia w życie tzw. Impoundment Central Act (1974) około 3/4 budżetu państwa znajduje się poza zasięgiem władzy prezydenta.

Ustawa ta przyznała Kongresowi prawo do łącznego zatwierdzania rządowych planów budżetowych t.j. zarówno środków przeznaczonych na utrzymanie aparatu rządowego jak i na opieki socjalne. Władze to rece Prezydentowi i jego potencjalne veto zastosowane wobec sacjalnej części rozpatrywanego budżetu obraca przeciwko elementarnej racji bytu administracji. Prezydenci zmuszeni są więc aprobować kolejne ekscesy "kapitolinckich" matadorów zawiści. Kongres chętnie na te prezydencką układność przystaje i oto w 1986 roku (jak podaje p. Barbara Goldwater) amerykański dług publiczny sięgnął -bagatela- 2,5 biliona dolarów (t.j. więcej niż 10 000 dolarów na jednego mieszkańca USA). Rząd federalny potrzebował dwóch wieków (w tym wielkiej depresji i 4 wielkich wojen) na zgromadzenie pierwszego biliona narodowego długu. Kongres zachował się bardziej ambitnie: wystarczyło 6 lat obecnej dekady by podnieść dług publiczny o kolejne 1,5 biliona. Absolwenci MIT i Harvarda zatrudnieni w sztabach dystrybutorów bogactwa znają się na swojej robocie. Konserwatyści przedstawiali kolejne poprawki o tzw. "Line-ite Veto Authority" t.j. władzy Prezydenta w rozpatrywaniu i zatwierdzaniu poszczególnych dziedzin i pozycji budżetowych oddzielnie i niezależnie od całości ustawy

budżetowej. Propozycje utonęły w morzu piany wytoczonej przez Dystrybucyjną Bandę Czterech (D. Rostenkowski, J. Biden, R. Gephardt, S. Solarz). Demokraci znacznie bardziej zainteresowani są debatami na temat 1/4 budżetu, o której w zasadzie przesadza Prezydent - szczególnie gdy chodzi o wydatki na zbrojenia. Te miliardy drażnią ich znacznie bardziej niżli koszty housingu, programów edukacyjnych, busingu, medicare, bonów żewnościowych, cel, subwencji, zasiłków dla bezrobotnych, opieki nad dziećmi itd. W 1973 roku tzw. "War Powers Resolution" ograniczyła do 60 dni prawo Prezydenta do swobodnego dowodzenia armią w czasie zbrojnego konfliktu. W związku z aferą Watergate (słynne 18,5 minuty taśmy magnetofonowej zniszczonej przez sekretarke Nixona) wszystkie dokumenty i papiery prezydentów USA stały się wkrótce własnością publiczną (papiery Nixona były jego prywatną własnością). I to właśnie publiczną własność naruszył płk. O. North. Prezydent Kubus Carter nie osłabił się zażętą powyższej ustawy. Leninowski i wilsonowski postulat jawnej dyplomacji tryumfował. Bezbronne twierdza zapraszają do ataku. Łagodny uśmiech Cartera, jego deklaracje dobrej woli, apele o wspólny i zgodny wysiłek narodu w walce z tym i z owym przyniosły mu 86-cio procentowy wskaźnik popularności w pierwszym roku urzędowania. Koniec prezydenckiej kadencji okazał się fatalny...

Dzisiaj Prezydent Bush siega po 70-cio procentowy wskaźnik popularności naśladować niesławny, "dziewiczy" image Cartera. W związku z tym konserwatywny dwutygodnik "National Review" przypomina, że od wyniku z jakim rozpoczyna się urzędowanie, ważniejszy jest rezultat z jakim się je kończy...Przypomnienie na czuście, gdyż po epoce odrodzenia konserwatyzmu wróciła dostojny krokiem i przemaszerowała przez Owalny Gabinet Białego Domu primadonna oświeconego amerykańskiego pragmatyzmu. Rządu dierża Republikanie - to prawda, ale tak w administracji jak i w Kongresie ideologiczne pozycje filozofii wolnorynkowej kurcza się i słabną. Pragmatycznie nie sposób powstrzymać tego socjopatologicznego sabatu działaczy obradujących w permanencji. Do wyjątków należy Gingrich - pogromca potężnego do niedawna J. Wrighta, bicz ("whip") Republikanów i wedle określenia pewnego demokrata "zły wiatr wiejący w korytarzach Kongresu i dzisiejsza reminiscencja Hiszpańskiej inkwizycji". Jack Keap - libero drużyny wolnorynkowej, Jesse Helms - przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Senatu i autor wcale rozumnej opinii o "Solidarności" jako gromadzie marksistów ("the bunch of Marxist"). Regule stanowią pragmatycy, wyposażeni i uzbrojeni w naleśnikowy make-up "astrzowie" konspiraści; Robert Doyle (który według Goldwata "próbuję uszczęśliwić wszystkich bez wyjątku"), Alfons d'Amato i inni. Ideowi wolnorynkowcy: Patryk Buchanan, Wilhelm F. Buckley Jr., Milton Friedman itd. nie mają wpływu na bieg spraw. I nawet jeśli debaty "Firing Line" Buckley'a i "Mac Laughlin Group" z udziałem Buchanana należą do najpopularniejszych show telewizyjnych, ich popularność zdaje się być odwrotnie proporcjonalna do ich politycznej skuteczności.

Demokratyczni championi, złotouchi pielegniarze skrzywdzonych i poniżonych regularnie zapędzani na małym ekranie w kół róg przez sprytnie koncepty Buckley'a, na wielkiej politycznej scenie odzyskują utracony w dekadzie reasonomiki rząd dusz i wygrywają spektakularne potyczki (od J. Towara poczynając a na W. Lucasu kończąc) przy biernej i przyzwalającej postawie prezydenta.

Prezydent Reagan mimo porażki w sprawie zrównoważenia budżetu, poprzez mądre politykę podatkową i monetarną (obecność Alana Greenspana jako szefa Biura Rezerw Federalnych jest dziś najpoważniejszym atutem ekonomicznym Busha) dał Ameryce kilkuletni

okres prosperity: 20 mln nowych miejsc pracy, 4-5% inflacji wobec 15% inflacji w czasach carteryzmu, 8-9% stopa procentowa przy 20% u schyłku lat siedemdziesiątych. Porażka budżetowa Prezydenta była prosta konsekwencja utraty przez Głowe Państwa w Ameryce władzy budżetowej. Diagnoza konserwatystów - overspending (nadmierne wydatki budżetowe) i ich recepta - ograniczenie i prywatyzacja socjalnego bric-a-brac Demokratów napotykały na skuteczny opór Demagogów Redystribucji. Diagnoza tychże brzmiała zawsze i brzmiał nadal: undertaxes (niewystarczające opodatkowanie). Recepta, która nieodlennie proponuje jest podwyżka stopy procentowej i dalsze doskonalenie metod redystribucji bogactwa tworzonego przez innych.

Andrzej Mańnica

Nowy Jork

Biorą nas na FUNDUSZ

Wśród ogarniającego nas oceanu niepewności, jedno wydaje się pewne. Gdyby za czasów Izabeli Katolickiej, Jana Żeglarza i Elżbiety Tudor współpraca gospodarcza z zagranicą zajmował się w tych krajach pan Marcin Świeicki, to z całą pewnością nie nastąpiłyby żadne odkrycia geograficzne i do dnia dzisiejszego wydawałoby się nam, że poza Europą i Tartarią świat nie istnieje. Zresztą i sam pan Marcin Świeicki nie mógłby dzisiaj być ministrem, bo kwalifikacje do piastowania tego urzędu zdobył w Harvardzie. Harvard zaś, aby rozdzielać stypendia dla ubogich komunistycznych ekonomaistów z Europy Wschodniej, musiał być najpierw odkryty wraz z całą Ameryką. Gdyby zaś pan Świeicki ... itd. to nie nastąpiłoby odkrycie Ameryki ze wszystkimi tego straszliwymi konsekwencjami, z obsadzeniem urzędu ministra współpracy gospodarczej z zagranicą w Polsce włącznie. Odkrycie Ameryki zaś nie nastąpiłoby z tego względu, że za rządów ministra Świeickiego nawet najbardziej zapaleni podróżnicy straciliby chęć do wojaży. Jak bowiem pamiętamy, choć ta pobudzana była nadzieja przywiezienia pieprzu, cynamonu, goździków i innych korzeni, złota i jedwabiu, wschodnich pachnidel i tak dalej. Coż wlec by się stało, gdyby w takich czasach ministrem został pan Marcin Świeicki? Zapowiedziałby on, że każdy, kto przywiezie choćby funt pieprzu, zapłaci taki podatek obrotowy od wartości celnej, która mu ustali na granicy urzędnik wedle swego widział się, że nikt nie będzie w stanie pieprzu tego od podróżnika kupić, przez co jedynym pewnym elementem tego interesu będzie plahta.

Minister Świeicki uważa się za meża opatrznociowości, myślał, że chroni w ten sposób budżet i życie oraz mienie nas wszystkich. Jakże to szczęście, że w przeszłości meżowie opatrznociowości byli mniej przewidujący, nie mieli doktoratów i wobec tego nie wiedzieli, że w handlu pieprzem, jedwabiami i herbata nic nie będzie, toteż nie tylko go nie tepili, ale i sami brali w nim udział z czego jakby mimochodem wyrosło Imperium Brytyjskie, które szczęśliwie przetrwało do czasów, gdy pojawili się meżowie opatrznociowości, jak to się mówi, nowego typu, z doktoratami itd. Pojawienia się tych meżów nie przeżyło nawet Imperium Brytyjskie.

Dlaczego pan Świeicki tak postępuje? Bo w swej prostoduszności uważa, że ludzie w Polsce nie powinni wydawać własnych dolarów nato, na co chcą i czego potrzebują, ale na to,

co umyśli sprzedać im on i jego koledzy z komunistycznego rządu pana Tadeusza Mazowieckiego. Dlaczego pan Minister uważa, że byłoby niedobrze, gdyby ludzie z Polski za posiadane przez nich zielone, niebieskie i innego koloru papierki kupowali samochody, maszyny, towary spożywcze i inne rzeczy? Myśle, że z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że rząd naszego państwa narobił długów i teraz liczy na to, że będzie je spłacał pieniędzał swoich obywateli, a po drugie, że rząd naszego państwa na domiar złego sam nadrukował papierów, które całkiem bezpodstawnie nazywa pieniędzał. Konsekwencjami spłacania długu publicznego metoda drukowania fałszywych pieniędzy rząd zamierza obciążyć obywateli i właśnie to robi. Dlatego też rząd potrzebuje naszych pieniędzy i nie przebiegiera w środkach, żeby je nam wydrzeć.

Rząd zaś postępuje tak dlatego, bo biurokraci z Międzynarodowego Funduszu Walutowego obiecali mu kredyt, jeśli uda mu się ograbić własnych obywateli, bo tak należy rozumieć zalecenie ekspertów funduszu, aby obniżyć konsumpcję o kilkadziesiąt procent. Rzecz prosta, biurokraci z Funduszu są rzecznikami naszych wierzyteli, którzy chętnie wytoczyliby z nas ostatnią krew, ale nam cóż do tego? Dlaczego mamy spokojnie przyglądać się - przyglądać się z entuzjazmem, jak "nasz" rząd grabi nas bez litości, żeby w przyszłości mógł nam okazać swą chojność za pieniądze pożyczone przez MFV. Niewłaściwość takiej metody postępowania zauważył nawet pan Kazimierz Barcikowski, który, jeszcze jako minister czegoś tam, w czasie służbowej podróży skrytykował pewnego restauratora, że chce robić majatek "na jednym kotlicie schabowym". "Naszemu" rządowi też najwyraźniej wydaje się, że jak ograbi obywateli, to uratuje budżet.

Kogo rząd ograbia i dla kogo ratuje budżet? Rząd podatkami ograbia tych obywateli, którzy tworzą, tzn. usiłują tworzyć bogactwo narodowe, ryzykując całym swoim mieniem, przyszłością swoich rodzin i pracując niekiedy 24 godziny na dobę. Podatki wyćsisnęli z ludzi produktywnych rząd zamierza rozdać już to w formie indeksacji, już to w formie zasiłków ludziom, którzy troskę o swoje życie sędowali całkowicie na państwo. Rząd chce być kochany przez swoich pieczeniary, którzy, rzecz prosta, basują na jak mogą. Zresztą nie myła się, kiedy mówiła: "nasz rząd". To rzeczywiście jest "ich" rząd, rząd, który troszczyć się o nich, zabiegając o ich względy i realizując wskazania Funduszu Walutowego odstepuje od polityki służącej wzrostowi produktywności na rzecz polityki fiskalnej grabieży. Chór pieczeniary obdarzonych zasiłkami będzie przez pewien czas piał hymny. Hymny te ucichną, gdy skończy się forsa. Gdy skończy się forsa, skończy się dobry fart dla polityków wsłuchujących się w pieśni tych ścierdzących syren.

Albo powiedzmy sobie szczerze, czy ktoś z nich kiedy samodzielnie coś zarobił? Minister Świecicki bywał na stypendiach, no to nie jest wykluczone, że tak w podświadomości mocno czuje, że w końcu i Polsce ktoś da stypendium i wszystko będzie dobrze. Socjaliści zawsze żyli z grabieży, więc oni akurat postępują zgodnie ze swą naturą. Z kolei premier Mazowiecki jako człowiek pobożny wie, że pieniądze anioła się na tacy. Za jego rządów rozwinęła się kolektka i więcej chyba jest już funduszy rządowych niż upłynęło tygodni od utworzenia nowego rządu. W związku z tym chciałabym przypomnieć, że w języku staropolskim "wziąć kogoś na fundusz" oznaczało zakpić sobie z niego. Zdaje się, że rząd pana Tadeusza Mazowieckiego bierze nas na fundusz.

To na pewno nie to

KRYTYKA RZADOWO-PARLAMENTARNEGO PROGRAMU GOSPODARCZEGO

Analiza aktów legislacyjnych zatwierdzonych przez parlament i innych dokumentów oficjalnych rządu jednoznacznie wskazuje, że władze zmierzają do zachowania socetatystycznego ustroju gospodarczego kraju. Ze wszęch miar mija się z prawdą wypowiedziana przez czynniki oficjalne teza, że program zapoczątkuje wyjście z socjalistycznej gospodarki do kapitalistycznej gospodarki rynkowej. Nie wolno tutaj dać się zmylić używaniem przez establishment rządowy neoliberalnego języka oraz określenie liberalami głównych aktorów prezentujących program gospodarczy opinii publicznej. Chodzi tutaj o takie nazwiska jak: T. Syryjczyk, L. Balcerowicz, W. Kaczyński.

W istocie rzeczy nie idzie o zamianę realnego socjalizmu na kapitalizm wolnorynkowy, lecz o podtrzymanie socetatystycznego ustroju kosztem dalszego spadku poziomu życia rodzin /premier określa to terminem "społeczna gospodarka rynkowa"/, wzrostu zadłużenia. Manipulacja polityczna jaka miała miejsce przy "okrągłym stole" kontynuowana jest z całą rozciągłością. Społeczeństwo jej uległo. Nieuniknioną ceną zaś tej uległości będzie przyspieszony upadek i anarchizacja gospodarki, gdyż program - obok dalszej pauperyzacji - wywrze destruktywny wpływ na najbardziej kreatywne i produkcyjne grupy społeczne, tj. przedsiębiorców prywatnych i rolników.

1. Sprzeczności programu

Podstawowa sprzeczność wewnętrzna programu tkwi w tym, że z kryzysu braku podaży chce się wyjść przez jego ... pogłębienie. Spadek produkcji przy wszystkich czynnikach sprzyjających może wynieść nie kilka procent lecz wielokrotnie więcej. Rolnicy ograniczą produkcję, przedsiębiorstwa prywatne ograniczą produkcję a często zawieszą w ogóle działalność. Przedsiębiorstwa państwowe zwiększą ceny, ale wątpliwe czy przy blokadzie płac, choć jedno zwiększy wolumen produkcji. Program w najlepszym przypadku wywoła apatię producentów i pracowników, a nie jest wykluczone, że bunt konsumentów.

Druga sprzeczność wewnętrzna programu tkwi w tym, że pragnie się wyhamować hiperinflację przez jej... przyspieszenie. Po jesiennej 700% inflacji, obecnie prowadzi się w deklaracjach programu do nowej inflacji 140% w skali roku, w tym tylko w m-cu styczniu 50%. Celem zabiegu jest wygaszanie popytu konsumpcyjnego i ograbienie społeczeństwa ze wszelkich oszczędności pieniężnych. Miał ofertę towarowej oraz oferty kapitałowej - nabycie praw własności w obecnym majątku państwa - zaatakowano społeczeństwo drenażowo niebotycznymi cenami.

Zabieg będzie całkowicie jałowy. Podwyżka cen nośników energii w celu poprawienia relatywnych zbyt niskich cen energii wywoła echo inflacyjne wyższe niżby to wynikało z prostego przeliczenia wzrostu kosztów energii na ceny produktów i usług. Pretekst wzrostu cen energii posłuży do wielokrotnie wyższego podniesienia cen wyrobów i usług. W styczniu nie skończy się na 50% inflacji. W lutym nie będzie 20% lecz 200% a w maju br. w stosunku do grudnia ubr. już może i tysiąc. Kolejne fale będą narastające a nie malejące, jak głosi program. Przyczyną jest to, że rządowa koalicja "okrągłego stołu" nie chce i nie potrafi dokonać tzw. zmian instytucjonalnych, tj. demonopolizacji, rozbicia struktur pośrednich, a głównie

sprywatyzować własność socjetystyczną w gospodarce. Gospodarki zaś typu sowieckiego - bo taką ona pozostanie - nie ma punktów równowagi, co wszyscy w nich interesują się popytem, zabieraniem i dzieleniem dochodów, a nikt tworzeniem podaży i dochodu.

Trzecią sprzecznością programu jest zamiar zablokowania płac w postaci nowej formy podatku od wzrostu wynagrodzeń, co ma obniżyć płace realne o ok. 25%. Rzekomi liberaliści rządowi, podobnie jak gomułkowscy ekonomiści, równowagi gospodarczej szukają przy pomocy bilansu dochodów i wydatków ludności, a w szczególności przy pomocy limitowania płac. Jest to całkowicie błędna droga. Nie można bowiem uwalniać wszystkich cen a główną ceną, jaką jest praca, bezkarnie administrować. To nie ma nic wspólnego z wolną gospodarką. Cena pracy ustala się na rynku w grze sił pomiędzy pracodawcami a pracownikami. Jeżeli pracodawca państwowy jest tak nieodpowiedzialny, że płace ustala ponad swoje możliwości finansowe, to trzeba go zastępować przedsiębiorcą prywatnym. Tworzenie rynku pracy i prywatyzacja jest właściwą metodą na utrzymanie płac wprost proporcjonalnych do efektów przedsiębiorstw.

Rzekomi liberaliści rządowi zamiast tworzyć takie warunki zachęty do oszczędzania dochodów przez ludność - pragną administracyjnie pauperyzować pracowników i nie chcą powrócić do klasycznych metod tworzenia równowagi w gospodarce, gdzie dochody z pracy samoistnie dzielą się na wydatki i naturalną stopę oszczędności. Chodzi im bowiem o to, aby dochody z pracy nie kapitalizowały się, aby pracownicy nie mieli wolnych środków na lokaty kapitałowe i oszczędności finansowe.

Podatek od wzrostu wynagrodzeń ma obok takich wad jak znany sabotażujący wpływ na wydajność pracy i brak zainteresowania wzrostem produkcji oraz poprawą efektywności, posiada i tę zasadniczą wadę, że utrzuca istniejącą strukturę produkcji. Jak wiemy ta struktura produkcji i aparatu wytwórczego jest prądozłotem, na równo z deficytem budżetowym, procesów inflacyjnych. Reakcje na blokadę płac będą dwie. Powstanie zakładowy "front jedności" związków zawodowych, samorządów i dyrekcji, który przejdzie nad blokadą tak, jakby jej nie było. Nastąpi wzrost płac nad zakładane granice bez wzrostu, a raczej przy spadku produkcji. Może być też i tak, że przedsiębiorstwa podniosą ceny tak, że bez wzrostu produkcji przy apatii produkcyjnej zapłacą pracownikom to co trzeba i zapłacą też owe krociowe podatki progresywne od wzrostu wynagrodzeń. Jedno i drugie oznacza recesję produkcyjną i inflację idącą w tysiące procent na przestrzeni roku.

2. Sprzeczność kluczowa programu

Czwartą sprzecznością programu jest sprawa otwarcia gospodarki przy pomocy ustalanego przelicznika walutowego a jednocześnie zamykania jej na wejściu przez zaporowe cła importowe, które osłonią monopole naturalne i niekonkurencyjnych producentów krajowych. Normalną rzeczą winna być sytuacja, w której nastąpiłoby wyeliminowanie niekonkurencyjnych producentów krajowych przez import konkurencyjny. Tak się jednak nie stanie. Producenti krajowi mogą dowolnie zhipić odbiorców krajowych i konsumentów.

Wyjaśnienia sprawy szukać należy w tzw. sprawie pomocy zagranicznej instytucji międzynarodowych. Pomoc ta najwyraźniej nie wejdzie do naszej gospodarki lecz przejdzie ponad nią i zamieni się szybko w obsługę długów zagranicznych tzn. zostanie przeznaczona na spłatę rat i odsetek od kredytów.

Wysoki przelicznik walutowy wywoła skłonność do wywożenia wszystkiego co się da na wschód i zachód i do nadwyżkowego salda w bilansie handlowym. Tak więc 2 mld USD nie zostaną zużyte na zahamowanie inflacji polskiej, stabilizację gospodarki i ewentualny początek przekształceń restrukturyzacyjnych w przemyśle, czy też na początek ożywienia. Nastąpi bezprzykładna recesja, inflacja i zamierzony spadek stopy życiowej.

Resztki oporu, jaki momentami przejawiały w stosunku do programu nieliczne grupy parlamentarne zostały zagłuszone właśnie perspektywą uzyskania nowych 2 mld USD. Nie wiedzieli owi parlamentarzyści jednak, że biurokracja MFW nie przewidywała ich dla naszego kraju. Biurokracja ta zaplanowała bowiem eksperyment polegający na ustaleniu, do jakiego stopnia typowe postkomunistyczne społeczeństwo jest skłonne do wyrzeczeń konsumpcyjnych pod wpływem hasel wolnościowych i antykomunistycznych, bez żadnej pomocy z krajów rozwiniętych, obsługując jeszcze długi zrobione na Zachodzie przez komunistyczną gospodarkę i serwituty internacjonalistyczne na Wschodzie.

Nie wygląda to zatem na błąd w sztuce lecz na świadome działanie, zmierzające do tego, aby utrzymać niezmienny ustrój gospodarczy, aby stabilizować gospodarkę obniżeniem stopy życiowej i jednocześnie obsługiwać długi zagraniczne. Jednocześnie chodzi o to, aby pozbawić przymusowych i dobrowolnych oszczędności obywateli krajowych i przy pomocy wysokiego przelicznika walutowego stworzyć dogodne warunki dla osób zagranicznych wykupienia krajowego majątku państwowego. Gdyby pomoc MFN miała zostać zużyta zgodnie z naszymi interesami, przelicznik walutowy winien zostać ustalony znacznie niżej, tak, aby nie wystąpiła fala inflacji, z którą będziemy mieli do czynienia od początku stycznia. Rząd po inflacji jesiennej, program stabilizacji winien zaczynać podejściem deflacyjnym, tj. wstrzymaniem wzrostu ogólnego indeksu cen i dostosowaniem wzajemnym cen relatywnych. Wybrano program gwałtownej inflacji, bo tak sobie życzyło z zewnątrz, przy pełnej akceptacji ekonomistów rządowych i ich internacjonalistycznych doradców, tym razem rodem z Zachodu.

3. Jaki kapitalizm?

Program wg deklaracji ma być wejściem do gospodarki wolnorynkowej. Dziwnie to brzmi, gdyż jednocześnie fundamenty instytucjonalne takiej gospodarki chce się tworzyć w bliżej nie określonej przyszłości, a te jej fragmenty, które przetrwały w ramach realnego socjalizmu próbuje się zniszczyć. Rynek to życie i zmiana, program proponuje zastój i spadek.

W pierwszej kolejności chodzi tutaj o własność prywatną i szybki wzrost klasy średniej. Przypomnijmy tutaj fakty. Istniejący od września ubr. urząd d/s prywatyzacji, zwany już obiegowo rządem d/s przeciwdziałania prywatyzacji, nie sprzedał w ręce prywatne ani jednego socetatystycznego zakładu i co ważniejsze nie zamierza tego zrobić i w tym roku. Mnożone są tutaj trudności bez końca. Raz jest to rzekomy brak kapitału, trudności z wyceną, innym zaś razem brak zdefiniowanej własności skarbu państwa. Niezwykle ważne dla tego tematu zagadnienia jakimi są: określenie formalnoprawnej instytucji własności skarbu państwa oraz określenie uprawnień instytucji operatywnie dokonującej wyprzedaży majątku publicznego, zwanej obiegowo funduszem majątku narodowego, rząd ani parlament w ogóle nie podjęły w swych pracach. Doskonali się za to dalej ustawy o przedsiębiorstwie państwowym, samorządzie oraz gospodarce finansowej tych przedsię-

biorstw. Kontynuuje się zatem takie atrypy własności jak państwowa i samorządowa. Pielęgnuje się takiego dziwnego właściciela jak "organ założycielski". Godni to siebie właściciele!

Lepiej oczywiście szczędności przymusowe i dobrowolne społeczeństwa zdrenować niebotycznymi cenami i pazernością finansową państwa niż zaferować za nie prawa własności. Lepiej zniszczyć do końca biurokratycznym zarządzeniem państwa, samorządów i związków to co zostało państwowego, niż skapitalizować społeczeństwo. Może się mylę, ale wtedy odpowiedź jest tylko jedna: nie chce się skapitalizować polskich pieniędzy i uwłaszczyć nas, bo tę rolę zarezerwowano wyłącznie dla kapitału i obywateli obcych! Na marginesie zaznaczmy też, że przez cały ten okres urząd d/s "przeciwdziałania prywatyzacji", nie podjął poważnego dialogu społeczno-politycznego z tak poważnym uzurpatorem do majątku skarbu państwa jak samorzady pracownicze i nic nie zostało ustalone w temacie za jaką cenę wykupić tę uzurpację. Tzw. akcjonariat pracy jest tak samo na cenzurowanym jak wyprzedaż rynkowa własności skarbu państwa na aukcji czy giełdzie w ręce osób prywatnych.

Nowa biurokracja ekopała się mocno. Minister przemysłu wzmacnia organ założycielski w kolejnej mutacji ustawy o przedsiębiorstwie państwowym. Niekiedy, tak jak z "Diory" a obecnie ze Stoczni Gdańskiej, tworzy spółki handlowe skarbu państwa. Oznacza to, że zakłady te mają już rynkową nazwę, tylko, że pozostają w całości własnością biurokracji państwowej. Taki kapitalizm nazywa się biurokratycznym a nie rynkowo-demokratycznym.

Jednocześnie w programie najbardziej zaatakowano, zyskując z punktu widzenia potrzeb budżetu zaledwie promilowe dochody, producentów, którzy w dotychczasowym systemie pracowali na własny rachunek i ryzyko, tj. chłopów i prywatnych przedsiębiorców. Kilkaset tysięcy drobnych rzemieślników produkcyjnych, usługodawców i handlowców obłożono lawinowo rosnącymi podatkami, skasowano im ulgi inwestycyjne i podniesiono składki ubezpieczeniowe, a także obłożono górą podatków od nieruchomości za każdy metr kwadratowy powierzchni produkcyjnej, a także opłatami dzierżawnymi, itp. Powoduje to masowe zawieszanie działalności gospodarczej i niechęć do wchodzenia nowych ludzi do gry.

Na dodatek nie uruchomiono kredytu dla nowych i początkujących ani też nie przewidziano szczególnych promocyjnych sponsorskich działań państwa w tym względzie. Broni się zaś w tym samym czasie licznej nomenklatury w monopolistycznych związkach spółdzielczych, wspólnotach itp. ogniwach pośrednich.

Podobnie postąpiono w stosunku do chłopów. Zwielokrotniono podatek rolniczy i dziesięciokrotniono podatki specjalne rolnicze. Jednocześnie chłopów zaatakowano lawiną inflacyjną cen środków produkcji rolniczej tj. nośników energii, nawozów, środków ochrony, ubezpieczeń oraz maszyn. Wydawało się, że przynajmniej po takim wzroście kosztów produkcji rolniczej, w tym kredytu rolniczego odstąpi się od opodatkowania rolnika. Ale się tylko wydawało.

Operacje te dają budżetowi zaledwie śmieszne dziesiątki mld złotych dochodu. Nie chodzi zatem o pieniądze. To jest zwyczajne zaciętrzewienie antykapitalistyczne socjaldemokratycznego rządu z czerwonym znacznikiem w klapie. Na wstępie do wejścia w gospodarkę rynkową zablokowano

rozwój średniej klasy. Nie dano szans tym, którzy niosą etos produkcji i przedsiębiorczości, zablokowano przyrosty podaży i drogę do zrównoważonego wzrostu. Niektórzy mówią, że rząd w ogóle nie prowadzi polityki przemysłowej i mylą się. Prowadzi, z tym tylko, że politykę przemysłową negatywną. Taka polityka prowadzić może w konsekwencji do zerowej produkcji i zerowego popytu. Pozostaje tylko zadać pytanie, gdzie w tym modelu jest miejsce na życie?

4. Bez konkurencji

Wiemy już, że na przedpolu do programu nie rozbito monopolu organizacyjnych, tj. struktur pośrednich, związków spółdzielczych oraz dekoncentracji organizacyjnej szeregu przedsiębiorstw wielozakładowych i kombinatów. Wraz z tzw. wymiennalnością złotówki, - którą można co najwyżej nazwać złotówką porównywalną - wprowadzono wysokie cla importowe i podatki obrotowe o tym samym charakterze. Będą one osłabiały naturalnych monopolistów krajowych. Ochrona naturalnych monopolu typu FSO czy URSUS oznacza, że będą one mogły bezkarnie okradać polskich odbiorców i konsumentów. Pobierać ceny wyższe niż światowe. Ponadto wysoki przebieg walutowy na wschód i na zachód będzie zniechęcał do importów a zachęcał do eksportów.

Dodajmy do tego w istocie rzeczy brak możliwości wejść do gospodarki nowych producentów do gry i wniosek jest jasny. Na rynku krajowym jak nie było warunków do rynku odbiorcy tak nie będzie. Upragnione nadwyżki podaży i konkurencji cenowej w dół nie widać. Co ma zatem hamować obiecanie zastopowanie inflacji. Chyba już tylko zaklęcia.

Konkurencję trzeba wytwarzać świadomą polityką przemysłową. Właśnie przez otwieranie wejść do gospodarki nowym producentom, wejść importowi konkurencyjnemu, rozbijaniem monopolu.

I jeszcze jedno, w warunkach blokowania wynagrodzeń nie będzie też konkurencji producentów na rynku pracy o pracowników przy pomocy konkurencyjnych płac. Rynek bez konkurencji, gospodarka rynkowa bez zmian strukturalnych; to zakrawa na ponury żart.

5. Strumienie inflacyjne płyną

Deficyt budżetowy za rok 1989, ten faktyczny a nie kasowy, zamknął się kwotą ok. 9 bln zł. Klęskę budżetu spowodowała niepojętą skłonność ekip rządzących do szastania groszem publicznym bez opamiętania oraz brak nowej koncepcji finansów publicznych. Z drugiej strony nie ściągnięto z przemysłu państwowego zgromadzonych w nim nadwyżek finansowych na skutek wyłącznie rozboju cenowego, niezwykle zresztą łatwego w ubr. Łączna wyegzekwowana stopa podatkowa w tym sektorze za rok ubiegły /podatek dochodowy, PDNW, dywidendy/ nie przekroczyła nawet 30%, a w roku 1988 wynosiła jeszcze 55%.

Pisałem o tym w "Przeglądzie Tygodniowym" nr 41/1989 i w notatkach eksperskich dla nowego rządu, co z tym należało zrobić. Nie wyegzekwowano należnej budżetowi stopy podatkowej, bo nie chciano naruszać interesów związków zawodowych i nomenklatury skoncentrowanych w przedsiębiorstwach państwowych. Zostały tam zatem puste pieniądze na dowolne wzrosty wynagrodzeń i inwestycje bez sensu ekonomicznego, bo głównie w systemy komputerowe. Parę bilionów złotych zostało w p.p., a w budżecie

powstała dziura bez dna. Zapłaciliśmy za to falami inflacji i płacimy nadal, a finanse państwa są jeszcze bardziej oplakane niż polskiej rodziny.

Za złamanie ustaw budżetowych, dewastację finansów państwa i wprowadzenie systemów podatkowych, które to umożliwiły, przed Trybunałem Stanu nie stanął ani poprzedni minister finansów ani nie stanie obecny. Robili to z tych samych powodów i dla tej samej klienteli politycznej. Widać nie jest to problemem, że z tych powodów kraj wszedł w recesję, i że wszyscy płacimy bezsensownie niszczący nas podatek inflacyjny. Jak na ironię na końcu roku wpisano do konstytucji zasadę, że jesteśmy państwem praw. Widać te prawa są stosowane dziwnie selektywnie.

Podobnie rzecz się przedstawia z budżetem na rok bieżący. Na drukach parlamentarnych równoważy się. W rzeczywistości będzie głęboko deficytowy. Zamierzone dochody nie zostaną zrealizowane, zaś wydatki przekroczone i rezerwy wydane.

W spadającej produkcji spodziewanych dochodów nie da się uzyskać, a jeżeli tak, to tylko nominalnie, gdyż wpłyną one wyłącznie z nominalnych wzrostów cen. W wydatki budżetu bieżącego wejdzie też nigdzie nie zapisanych parę bilionów zł niezapłaconych zobowiązań budżetowych za rok miniony. W dochodach budżetu zaplanowano też znaczne kwoty, które są długiem publicznym, a pochodzą z emisji papierów wartościowych/obligacji/. Deficyt budżetowy osiągnie wysokość około 1/3 wydatków, co w relacji do produktu społecznego wyrazi się liczbą ok. 15%. Nie ulega wątpliwości, że musi to wywołać wykładniczo narastającą a nie spadającą - jak ogłoszono to w programie - inflację. Pieniądz nadal będzie najbardziej torturowanym a nie uzdrawianym narzędziem gospodarki. Od tego zaś jakim on będzie, zależy cała motywacja w gospodarce.

Przypomnijmy, że wszystko to dzieje się w warunkach gwałtownie narastającego fiskalizmu rządu. Wydatki budżetu stanowią będą ok. 60% produktu społecznego, to oznacza rekord świata. Wszystkie podatki zostały podniesione. Normalnemu rządowi liberalnemu, aż nadto winna starczyć na jego wydatki 30% stopa redystrybucji produktu społecznego. Rządy typu socjalistycznego nie uświadamiają sobie, że im większy podział produktu społecznego przez biurokrację, tym większe deficyty, bo tym więcej wiszących na budżecie a tym mniej produkujących. Widać pseudoliberalnemu rządowi i zsocjalizowanemu parlamentowi prawdy te są bardzo obce.

Dodajmy jeszcze jedną relację, która negliguje rzekomy liberalny i rynkowy charakter programu. Otóż, przeciętny pracownik uzyska dochód z pracy do dyspozycji w kwocie ok. 0,8 mln zł miesięcznie. W tym samym czasie z jego pracy rząd uzyska dochód budżetowy z tytułu podatków w kwocie ok. 1,5 mln zł. Dochód dysponowany z trudem osiągnie 1/3 dochodu wypracowanego. Co to ma wspólnego z liberalną i rynkową rewolucją? To są propozycje najbardziej zbiurokratyzowane a wszystkich socjalizmów. Przy tak fiskalnym poziomie podatków w programie założono kontynuowanie długu publicznego w formie przejściowych kredytów bankowych, które w praktyce nie będą przejściowymi, ale także w postaci wspomnianych obligacji budżetowych. Jest to działanie niedopuszczalne z dwóch głównych względów. Po pierwsze: pieniądze, które mogłyby zostać zastosowane w przedsięwzięciach produkcyjnych przechodzą w sferę nieprodukcyjną, przez co rośnie dość nagle popyt a relatywnie maleją w przyszłości

NARODOWI KONSERWATYSCY

Łódź

Sensus catholicus

CZYLI KATOLICKI INSTYKNT

SAMOZACHOWAWCZY

Być katolikiem to znaczy być chrześcijaninem, który uznaje, iż najważniejsze rozumienie Objawienia i najbardziej prawidłowa realizacja zawartych w nim wskazań odnaleźć można w Doktrynie i praktyce Kościoła Rzymskokatolickiego, który okazuje absolutne posłuszeństwo w sprawach wiary Urzędowi Nauczycielskiemu tego Kościoła, i który w swoim życiu stara się kierować wskazówkami zawartymi w Jego Nauczaniu.

Chrześcijanin nie jest więc w pełni katolikiem gdy jego katolicyzm realizuje się jedynie w praktykach religijnych. Chrześcijanin może nazwać siebie katolikiem gdy katolickie jest całe jego życie, życie rodzinne i prywatne, życie społeczne, cała obecność w świecie. Chrześcijanin jest katolikiem nie tylko wtedy gdy katolickie jest to co robi, ale także wtedy gdy robi to co dyktuje mu jego katolicyzm.

Trudno jest być katolikiem w XX wieku. Cały świat, cywilizacja i kultura godzą w katolicyzm, dyktują myślenie i działania, które sprzeczne są z nauką Chrystusa i Kościoła. Życie prywatne i społeczne uwikłane w kontekstach zła, które narzuca współczesność nie jest dla katolika łatwe także dla tego, że gubi się w dzisiejszej rzeczywistości, że nie zawsze już wie gdzie tak naprawdę odnaleźć można Chrystusa. Niewiele już tu i teraz jest rzeczy i spraw białych i czarnych. Najczęściej wszystko jest szare lub co gorsza kolorowe. To, co czarne często ubiera się w białe szaty.

Jeżeli zatem katolik chce przetrwać w tym świecie jako katolik musi być głęboko i całkowicie przejęty zasadami katolickimi i to w taki sposób by w każdej sytuacji życiowej mógł bez długich wahań i namysłów znaleźć od razu katolicki punkt widzenia i katolickie rozwiązanie. Mówiąc inaczej czisiejszy katolik jeśli chce pozostać katolikiem musi posiadać to, co określa się nazwą *sensus catholicus*, to, co o. Jacek Woroniecki nazwał instynktem katolickim.

Instynkt katolicki można nabyć na drodze religijnej lub intelektualnej. Nie zawodzi on prawie nigdy gdy nabyty jest na obu

tych drogach. Droga religijna określa tu pewne podstawy. Droga intelektualna umożliwia pełną wolność w perspektywie myślenia, pozwala katolikowi być katolikiem w pełni i do końca świadomym.

Źródła religijne instynktu katolickiego tkwią w praktyce religijnej, w której następuje rozwój stanowiących religie realnych powiazań z Bogiem i dokonuje się urzeczywistnienie wewnętrznych i zewnętrznych naturalnych skutków tych powiazań. Katolik praktykujący nabiera zatem instynktu katolickiego w sposób niejako naturalny w tej jego perspektywie, która jest perspektywą miłości, wiary i nadziei. Katolik praktykujący musi jednak, atakowany w podstawach swej wiary, przez godząca w sens jego perspektywy teorii i praktykę chronić swój katolicyzm również w płaszczyźnie intelektualnej. Inaczej będzie musiał zawęzić swój katolicyzm, ograniczyć sfery jego wpływów, przestać być katolikiem w wielu momentach. Musi więc także swój instynkt katolicki rozwinąć w perspektywie myślenia.

Źródła intelektualne instynktu katolickiego, i o tym także należy pamiętać, stanowią podstawy istnienia Nauki Kościoła. Bez nich nie byłoby możliwe jednoznaczne sformułowanie, właściwe rozumienie i przekazywanie prawd objawionych. Prawdy objawione pozbawione tych podstaw muszą przybrać postać do końca nieczytelnych, wieloznacznych tajemnic, które mogą nabrać konkretnej treści tylko w indywidualnych, często diametralnie różnych, subiektywnych ujęciach. W ten sposób prawdy wiary przedstawia potępiony przez Kościół modernizm.

Intelektualne źródła instynktu katolickiego tkwią w uniwersalizmie i obiektywizmie. Są one zresztą zasadniczymi składnikami sensus catholicus. Ich zachowanie w Nauce Kościoła może być zagwarantowane tylko wtedy gdy obiektywizm i uniwersalizm będą integralnymi cechami wspomagającej tę Naukę filozofii. Nie można przecież Nauki Kościoła wspierać na filozofii głoszącej, że poznanie człowieka jest poznanie czynnym, a więc na tego typu filozofii jaka głosił Kant, Hegel, Heidegger, Husserl, Ingarden itp. Jeśli bowiem uznamy, iż wszystkie treści, które jawią się w naszej świadomości są w jakiejś mierze naszym tworem, to musimy także uznać, że prawdy wiary są w jakiejś mierze naszym tworem, a to już nie jest chrześcijaństwo, lecz tylko jedna z postaci godzącej w nie, w swej istocie satanistycznej, grozy.

Jeśli brak takiej perspektywy w świadomości współczesnego katolika i jest ona zarazem "zanurzona" w kulturze antyobiektywistycznej i antyuniwersalistycznej instynkt ten musi zginać. Będzie wtedy zastępowany intuicją typu gnostycznego, która przedzie czy później zniszczy życie religijne człowieka.

Obiektywizmem w filozofii jest doktryna realistycznego konceptualizmu, która głosi, iż pojęcia stanowiące treść naszego myślenia odpowiadają rzeczom badanym poza nami i są w swojej treści całkowicie od nich zależne. Filozofia, której cechą jest obiektywizm, bada więc rzeczywistość taką jaka ona jest w swojej istocie przyjmując za punkt wyjścia swego poznania zmysłowe. Identyfikując poznanie człowieka jako poznanie bierne, adekwatne do swego przedmiotu w całym jego ontycznym bogactwie.

Subiektywizm reprezentowany dziś przez większość współczesnych prądów filozoficznych rodzić się z zanegowania obiektywizmu odrzuca kategorie prawdy uznając w konsekwencji relatywizm i ograniczając faktycznie przedmiot filozofii do treści ludzkiej świadomości. W ten sposób sprowadza się całe życie intelektualne człowieka jak również jego życie religijne do pewnej postaci wyrafinowanego i często świadomego kultu własnego "ja". Ten kult powstaje przez sprowadzenie całego świata do swojej jego świadomości, w której traktuje się wszystko, w tym również Boga, jako zespół idei, z których konstruuje się taki system, który zapewnia "rozwój" duchowy /ilościowe i jakościowe zwiększenie

tego, co moje/ i wolności /działanie w którym realizuje wyłącznie to, co moje/.

W subiektywizmie cały świat sprowadza się więc do świadomości ludzkiej. Stwórcą tego świata jest człowiek. On decyduje tu o wszystkim, także o moralności. Człowiek jest bogiem. Podstawowym jego zadaniem, jak uświadamia nam to wprost Hegel i Heidegger, jest uświadomić sobie ten fakt. By fakt ten był bezsprzeczny trzeba jeszcze udowodnić, że poza człowiekiem nie ma żadnego Boga. Dowód taki można znaleźć u Kanta. Twierdzi on, że podmiot, przedmiot, miejsce, ruch, czas, przyczyna, skutek itp. to tylkokategorie ludzkich władz lub idee funkcjonujące jedynie w naszej świadomości. Poza człowiekiem jest więc tylko chaos. To tylko człowiek wprowadza w niego porządek i nadaje mu sens. Boga więc nie ma. Gdyby był świat poza człowiekiem byłby zorganizowany, celowy, sensowny.

Subiektywizm to zatem tylko nowa forma satanizmu, to religia, w której nie czci się już nawet szatana, a jedynie się go naśladowe. Łatwiej to zauważyć gdy podda się analizie genezę subiektywizmu. Ukazuje się, iż u jego podstawy leżą tezy teologiczne. Cały subiektywizm wspiera się przecież na kartezjańskim "cogito ergo sum", które pojawiło się w filozofii w związku z koniecznością udowodnienia istnienia świata materialnego. Dlaczego Kartezjusz musiał udowodniać istnienie świata materialnego? Bo przyjął, iż jakiś demon może wciąż wprowadzać człowieka w błąd. Dlaczego przyjął te tezy? Wprowadził ją w swoją filozofię po objawieniu jakiego doznał w młodości. Cała filozofia zbudował po to by mieć pewność, że to z czym się kontaktuje nie jest szatańskim oszale. Uciekając przed diabłem wpadł w jego objęcia pchać w nie zarazem wszystkich tych, którzy ducha filozofii kartezjańskiej uznali za ducha swojej filozofii.

Uniwersalizm, który jest sposobem gromadzenia obiektywnej wiedzy, wychodzi z założenia, że jej zdobywanie jest funkcją społeczną i głosi, że jak mówi o. Jacek Woroniecki, "dopiero solidarny wysiłek szeregów pokoleń zapewnia jej trwały postęp". W teologii jest to coraz głębsze przemyślenie i coraz ściślejsze formułowanie prawd objawionych. Praca pojedynczych teologów jest tu bardzo cenna, a jednak nie decydująca. Ona dostarcza niejako cegieł. Decydująca rola ma żywe magisterium, budujące dalej z tych cegieł i wznosi i wgląd przepiękny gmach wiary i teologii katolickiej.

W filozofii to gromadzenie wiedzy dotyczącej realnej rzeczywistości jest gromadzeniem, w którym zasada i kryterium wyboru i systematyzacji poszczególnych twierdzeń jest sama rzeczywistość. Tu także nie można samodzielnie zrobić kroku naprzód. Tu także gmach wiedzy powstaje dzięki wysiłkowi wielu pokoleń.

Uniwersalizmowi przeciwstawia się partykularyzm, który wiąże się ściśle z subiektywizmem uznając za kryterium wartości wiedzy człowieka to przede wszystkim, co potwierdza jego "boskość", a więc to, iż jest jego wytworem, jego dziełem, że jest oryginalna. W praktyce objawia się to zazwyczaj wyłącznie w sferze językowej. W oczach historyka filozofii będa to, iżawsze muszą być wysłuchane na przestrzeni wieków filozoficzne slogany wyrosłe na starych błędach i pomyłkach, na nieporozumieniach i uproszczeniach.

Partykularyzm to przecież zawsze odrzucenie doświadczenia i mądrości poprzedników, to ślepa wiara w siebie i w swoje możliwości, to zanegowanie prawdy i dobra bo godzą w moją pychę i "boskość". Partykularyzm to zawsze zastój, to dreptanie w miejscu, a zarazem w konsekwencji powrót do początku drogi człowieka, do barbarzyństwa, bałwochwaltwa, pogaństwa. I to pogaństwo można już

dzisiaj wyraźnie zobaczycy. Nie zawsze widać go w wyrachowanych i skomplikowanych hipotezach i koncepcjach współczesnej kultury. Widać je jednak wprost w ich konsekwencjach, które dotykają współczesny świat na codzień.

Filozofia, jaka by nie była, zawsze pozostaje w określonej relacji do Nauki Kościoła. Niektóre prawdy filozoficzne takie jak te, które dotyczą istnienia Boga czy powstania rzeczywistości materialnej /to, co materialne nie jest odwieczne lecz stworzone/, są bezpośrednim przedmiotem nieomyślności nauczania Kościoła. /Objawienie zawiera bowiem w myśl Nauczania Kościoła, wiele prawd do których człowiek może dojść na drodze poznania filozoficznego, które jednak, ze względu na ich ważność dla zbawienia człowieka, zostały objawione przez Boga/.

Inne prawdy filozoficzne nie zawierające się w Objawieniu Boga również pośrednio podlegają nieomyślnemu nauczaniu kościoła, o ile tak ściśle związane są z prawdami wiary, że ich zanegowanie prowadzi do negowania tych ostatnich /np. doktryna poznania biernego/. Pozostałe zagadnienia filozoficzne Kościół pozostawia rozważać filozofów. Ale i tu może sprawować swą pieczę wspomagając filozofów w ich służbie prawdzie, dobru i Bogu i chroniąc ich myśl od błędów mogących godzić w Naukę Chrystusa.

We wszystkich odpowiednich dokumentach jakie wydał Kościół od Leona XII do Jana Pawła II, za jedyną filozofie obiektywistyczno-universalistyczną wspomagającą Objawienie uznaje się filozofie Tomusza z Akwinu. Stąd Kościół poleca jej studiowanie i rozwijanie i nakazuje spoglądać na koncepcje innych filozofów przez pryzmat tomizmu i czerpać z nich te ich dowiadzczenia, które z tomizmem są zgodne.

Każdy więc kto atakuje tomizm atakuje też pośrednio Kościół. Każdy kto podważa podstawowe zasady tomizmu podważa tym samym Naukę Kościoła. Nie ma mowy o żadnym zalewaniu chrześcijaństwa tomistycznego. Chrześcijaństwo nie zmienia swego oblicza. Zainane jego oblicza nazywamy herezją.

Tylko dzięki tomizmowi katolik, który styka się z wyższymi warstwami kultury może zyskać instynkt katolicki umożliwiający mu bycie katolikiem nie tylko wtedy gdy bierze udział we Mszy św. czy przystępuje do sakramentów ale również w całym swoim myśleniu i działaniu, we wszystkich sytuacjach. Brak tego instynktu oznacza zniewolenie przez to, co dominujące w dzisiejszej kulturze i cywilizacji, przez to, co w swojej istocie godzi w katolicyzm. Brak tego instynktu w człowieku to zatem zarazem zepchnięcie jego katolicyzmu na margines tak wewnętrznych jak i zewnętrznych wydarzeń wyznaczających jego życie, to więc także zanegowanie katolicyzmu w jego wymiarze intelektualnym, moralnym i społecznym, a w konsekwencji często jego faktyczne odrzucenie.

Instynkt katolicki to nasz instynkt samozachowawczy. Jego brak może być początkiem naszej religijnej i moralnej samozagłady. Do tej zagłady chcą doprowadzić wszyscy ci, którzy godzą w tomizm, którzy chcą nam wmówić, że dziś chrześcijaństwo ma się wspierać, jeśli chce dorównać biegowi historii, na filozofii współczesnej. Szatan ma dziś niejedno imię. Zawsze jednak sprowadzi nas na manowce.

Stanisław Krajski

Zdrajcy czy patrioci

O tym jak garstkę szalenców, zdrajców i nieudaczników nazwano bohaterami narodowymi - pamięć garstki bohaterów, którzy śmiercią okupili swoje przekonania, okryto niesławą.

Kim byli: Ignacy Blumer? Maurycy Hauke? Józef Nowicki? Stanisław Potocki? Stanisław Trebicki? Tomasz Siemiątkowski?

29 listopada MDCCCXXX roku parudziesięciu zapaleńców w mundurach wzniesło bunt przeciwko Królowi Polski. Nie pierwszy w naszej historii przykład warcholstwa. Tym razem skierowany był przeciwko JHM Mikołajowi I, który funkcje te pełnił na drugiej etapie. Ów Sasodzierzca Rosji był niewątpliwie gorszym królem niż Aleksander I. Powiedzmy więcej: taśten wskrzesiciel Polski niewątpliwie ją faworyzował kosztem Imperium - z powodów osobistych, politycznych ale i ideologicznych: chciał on bowiem uczynić Polskę oknem wystawowym liberalizmu, a następnie - prątniczą do niej ziemię Cesarstwa, unowocześnić całe Imperium. Po takim władcy Mikołaj I mógł wydawać się bardzo zły.

Tym niemniej obywatele Królestwa nie poparli tego buntu. Król nie przekroczył miary usprawiedliwiającej bunt, zbyt wiele było do stracenia, zbyt małe szanse sukcesu - a przede wszystkim: zbyt mało do zyskania. Czy inny Król na pewno byłby lepszy? Proszę pamiętać, że niektórzy spiskowcy planowali osadzić na tronie Polski... W.Ks. Konstantego, będącego przecież głównym sprawcą zdrażnienia!

Wróćmy jednak do nocy listopadowej. Poza Joachimelem Lelewielem nikt poważny nie chciał przykładać ręki do tej awantury. Smarkateria w mundurach biegła wtedy po ulicach i przykładała generalom pistolety do głów: albo obejmiesz dowództwo albo kuła w łeb!

Niektórzy odmawiali - inni próbowali wykreślić się siłami lub zdecydowanie mówili, co o tym sędzi. Żaden nie zdradził! - co prawda jeden zginał przez pomyłkę: miał nazwisko zbyt podobne do nienubianego przez podchorążych gen. Lewickiego.

Nie z d r a d z i ł ...? Ależ tak!

Pomnijmy na chwile racje polityczne i popatrzmy na sytuację człowieka normalnego. Byli to zawodowi żołnierze. Składali przysięgę na wierność Mikołajowi I. Przysięgę - proszę Czytelnika. Otóż wtedy panowały jeszcze w świecie takie obyczaje, że słowa się dotrzymywało - a przysięgi tym bardziej. Wystarczy?

Nie wystarczy? Dzisiejszy człowiek jest tak skażony politykierstwem i interesownością, że nie może zrozumieć najprostszej rzeczy... Dobrze, pomówmy więc o tych teraźniejszych - acz sądzić należy, że zasordowani generałowie /a zabito jeszcze paru pułkowników/ ani nie chcieli wysłuchać w tych kategoriach, ani nie mieli na to czasu.

Jeśli zatem - rozumiemy - owa awantura spali na panewce, to wdawanie się w nią jest nad wyraz nierozsądne. Nie idzie już o represje: gdy walczyć się o szlachetną sprawę to represje tylko dodają niambu. Gorzej, że pozostanie wstyd, że dało się wciągnąć garstkę krzykaczy w podejrzaną afere.

Przypuśćmy jednak, że stanie się rzecz mało prawdopodobna i bunt zwycięży. Komu wówczas będa musieli służyć zwycięscy generałowie? Poczcie wariatów, którzy uważają, że najlepszym sposobem werbowania dowódcy to zmuszanie go do objęcia stanowiska pod lufą pistoletu!!! Nie, jaki był Mikołaj I taki był - ale na pewno nie był takim idiotą. Ponieważ zaś najlepiej być parobkiem u mądrych niż królem u idiotów - przeto wybór jest jasny.

Przypuśćmy jednak rzecz najkorzystniejszą: bunt zwycięża i

naród wybiera sobie znakomitego sładce. Coż uczyni taki wzór monarchów? Przede wszystkim wyrzuci na zbity pysk owych generałów. Po pierwsze dlatego, by pokazać ludowi, że zdrada nie może być nagrodzona - ale i w trosce o własne bezpieczeństwo: człowiek, który raz ziałam przysięgę może ziać ją po raz wtóry...

Jesteś, Czytelniku, wstrząśnięty? No tak: dziś władcy foruja byle lajdaka, byle był wierny j e m u. Wtedy panowały inne obyczaje i tej zasady uczono 7 - 8 letnie dzieci. Synów arystokracji przede wszystkim. Ale nie tylko. Takie po prostu były pojęcia.

W każdym razie Wojsko Polskie jako formacja zachowało się wzorowo. Nie dopuściło do królobójstwa /W.X. Konstanty reprezentował osobę Króla/. Eskortowało go pod osłonę wojsk rosyjskich. Po czym p o p r o s i ł o o zgodę na przyłączenie się do powstania - które wówczas zaczęło się "legalizować". Konstanty swej zgody u d z i e l i ł. Takie wtedy panowały obyczaje.

By zorientować się, ile straciliby obywatele Królestwa zamieniając Mikołaja I na rządy rewolucjonistów, przyjrzyjmy się dalszym losom generalicji. Gdy Sejm zdeponizował Mikołaja I /nie jest jasne, czy było to w pełni legalne/ generalicja podzieliła się na cztery grupy: Jedni zostali w służbie Mikołaja I prosić o nie kierowanie do walki z wojskami Królestwa /na co zgodę, oczywiście, uzyskali/, drudzy poprosili o zgodę na wystąpienie ze służby /która otrzymali/ i walczyli po stronie polskiej, trzeci o zgodę nie poprosili i też walczyli, a czwarty po prostu zaszyli się w myśla dziurę. Po stłumieniu powstania wrócili /jeśli chcieli/ do służby, przy czym uznawano stopnie zdobyte w tej walce przeciw Carowi. Nie dotyczyło to kategorii trzeciej: ci, jeśli nie uciekli za granicę /co wiązało się z represjami majątkowymi/ zostali przez okrutnego samowładce zesłani do Wiatki. Ta sama szerokość geograficzna, co Polska, klimat ułaskawiany, bliżej Moskwy niż Warszawa. Wraz z rodzinami. Po paru latach wrócili - niektórzy nawet wstąpili do służby...

Przy okazji, Drogi Czytelniku, słów pare o carskich kazamatach. I o Sybirze. Te słowa budzą dreszcz trwogi w Polaku. W rzeczywistości reżim w carskich więzieniach - nie dotyczyło cieżkich więzień za zbrodnie - był znacznie łagodniejszy niż obecnie w Polsce. Zwłaszcza dla politycznych. Zesłanie na Syberie było zaś po prostu zainia miejsca pobytu - i jedynym obowiązkiem zesłańca było meldowanie się raz na miesiąc u gubernatora, co często łączyło się z obiadem i alewało charakter wizyty towarzyskiej - jeśli był to zesłańca na odpowiednim towarzyskim i intelektualnym poziomie. Ludzie miał domy, sprowadzili rodziny, mogli mieć i zarabiał pieniądze, wielu prowadziło prace naukowe, o czym świadczą nazwy geograficzne i zoologiczne.

Wracamy do sześciu generałów zamordowanych przez spiskowców gdyż nie chcieli ziać przysięgi. Cesarz o nich nie zapomniał - i ku ich pamięci wybudowano pomnik na placu Saskim /obecnie Zwycięstwa/ w dość niefortunnym miejscu, gdyż obok warszawskiej cerkwi. Przez Warszawiaków nazwany był wzięcznie "Pomnikiem Sześciu Zdrajców" - gdyż w pojęciu ludu ten, kto kradnie, zdradza i morduje dla nas jest bohaterem, ten zaś, co dochowuje wiary wrogowi: zdrajca. Toteż natychmiast po odzyskaniu niepodległości pomnik został rozebrany.

Znakomicie świadczy to o szacunku, jakim w tej części Europy darzy się pamiatki historyczne. Nie bedziemy mieć żadnych, gdy komuści rozbierać będą pamiatki po anty-komunistach i na odwrót. Obawiam się, że po niedługim już upadku komunistów zostanie rozebrany "Pomnik Bohaterstwa Broni". Podobnie jak tamten dość szkaradny, zwany jest "Pomnikiem Czterech Śmetnych" i stoi - dziwny traf - vis a vis cerkwi... Widziałem jednak w Wiedniu

Jeszcze większe szkaradziństwo wybudowane za sowieckiej okupacji w tej samej intencji - i jakoś nikomu nie przeszkadza. Obecny mer Paryża - choć anty-komunista - nie ma najaniejszego zamiaru przemianować ulicy "Stalingrad", a władze Rzymu delikatnie odsuwają sugestie polskiej ambasady, by zmienić nazwę ulicy Piłsudskiego, przy której ona stoi...

O tym jak tyran awansował na zbawcę - a o zbawcy, w wysł zasady "o zmarłych carach nic, jeśli nie źle" - pisze się mało.

Kim był Napoleon?

Był to wybitnie zdolny wojskowy, który zawdzięcza wykształcenie królestwu, a karierę zaczął robić za republiki, w czym nie ma nic szczególnie nagannego. Następnie zdradził rewolucję, której nigdy specjalnie nie považał i został dyktatorem Francji, uzurpowaśszy sobie z czasem tytuł Cesarza. Jak najbardziej słusznie, gdyż Juliusz Cezar też był dyktatorem i grabarzem Republiki. Poglądy Napoleona - zazwyczaj słuszne, przenikliwe i... cyniczne wskazują na człowieka o wielkich zdolnościach politycznych - przy braku skrupułów. Nie zdawał sobie przy tym sprawy, że jego raz uruchomiona machina nie da się z a t r z y m a ć, że każdy podbój budzi chęć rewanżu i zaciekła pierścien nienawiści wokół Francji.

Człowiek ten, ze wzrostu podobny raczej do Stalina, w postępowaniu przypominał Hitlera. Górował nad nim kultura /właściwa epoca/, wykształceniem oraz zdolnościami. Mimo to podobieństwo wojen napoleońskich do hitlerowskich jest uderzające.

Z ta różnica, że Hitler górował nad nim moralnie pod jednym pryzmatem: względem: nie oszukiwał Polaków, że prowadzi wojnę wyłącznie dla ich dobra. Być może dlatego tylko, że nie było na to szans.

W każdym bądź razie Napoleon zdołał spustoszyć całą prawie Europę. Wygubił armie francuskie /zostawiając jedną na łasce losu w Afryce/. Poćwiartował Włochy na jakieś republiki Cisalpińskie i inne - które potem przydzielał jako królestwa swoim podciotkom i faworytom. To samo uczynił z Niemcami. Podobnie z Polską i innymi krajami. Spustoszył Hiszpanię - wyjątkowo dokumentnie. Wysłał wojska nawet na wyspę Św. Dominika. Polskie reszta. Na koniec zdradził pakt z Rosją.

Mimo to połowa publicystów go wychwala. /.../ Zdobył Moskwę - co nie udało się potem Hitlerowi /może wskutek braku poparcia Polaków?/. Druga połowa go wyklina - wszystko to jest w pełni zrozumiałe. Nawet Neron i Chan Chingis mają swoich apologetów - i mieli swoich zwolenników. Natomiast dla całej reszty Europy był to genialny parweniusz bez zasad i zadufany w sobie tyran.

Bo raczej trudno inaczej to ująć.

Jedynym wyjątkiem jest... Polska.

Najzabawniejsze jest to, że współcześni Napoleona w zasadzie nie mieli wielkich złudzeń. Kościuszko nie był wyjątkiem: większość polskiej szlachty i polskiego ludu, która miała wątpliwą przyjemność żyć w jego czasach, obdarzała Napoleona niechęcią.

By zrozumieć jej motywy wystarczy kupić sobie z przeceny parę tomów dokumentów pt. "Ustawodawstwo Księstwa Warszawskiego" - i zdać sobie sprawę, że owo "Księstwo" było nie jakimś tam protektoriatem /.../ Było bezlitośnie łupiona kolonia francuska. Bodaż nawet Jan Frank nie łupił tak Generalnej Guberni, jak czyniły to wojska Napoleona - nawet w czasach pokoju! W każdym razie uwzględniając ówczesne obyczaje - było to zdzierstwo niesłychane.

Tak niesłychane, że gdy wieści o tym, co dzieje się w

Księstwie, przedostały się na bedace pod władza rosyjska ziemie litewskie, przerażeni obywatele własnym sumptem i z własnej inicjatywy ufundowali dwa pułki jazdy mające bronić ich kraju przed Napoleonem!

A teraz pytanie: skąd zatem obecna legenda napoleońska?

Odpowiedź jest prosta. Wspominałem już o rzeszy bezrobotnej polskiej inteligencji. Ludzie ci gotowi byli na wszystko - z zatopieniem własnego kraju we krwi - byle rządzić nim zamiast obcych urzędników. Posilając uroki władzy byli w tym i niebagatelne pieniądze. Przykład Legionów Piłsudskiego pokazuje, jak byle sierżant i Brygady zostawał majorem odrodzonego wojska - z odpowiednią pensją. To samo dotyczyło Legionów Dąbrowskiego. Jednak naprawdę nie o pieniądze szło: szło o chęć władzy maskowaną w podświadomości frazesami o Ojczyźnie.

Ludzie ci - głównie na emigracji - Judzili i kłamali. O Mickiewiczu będzie osobno - choć tylko przypomnieć, że w Panu Tadeuszu znaleźliśmy sielski i całkowicie zakłamany obraz Litwy siadającej na koni i spieszącej pod znaki Napoleona. Być może zresztą Mickiewicz nie tyle kłamał, co po prostu przenosił nastroje wileńskiej studenterii w naiwnym przekonaniu, że podzieliła resztę kraju /.../

Trzeba tu dodać, że Napoleon doceniał militarną wartość polskiej szlachty. Nie myślał na jej rzecz poświęcić ani krztyny swych interesów imperialnych. Np. narazić się Prusom. Poznańskiego przecież nie przyłączył! Natomiast kupił sobie sympatie szlachty w bardzo śmiały sposób.

Otoż we wszystkich krajach Napoleon wprowadzał urzędnika rewolucyjno-burżuazyjnego. Nie chodził przy tym o ich treść - byli nad wyraz rozsądni - lecz o sposób: nie liczył się z miejscowymi prawami ani z obyczajami. Wyjątek uczynił dla Polski:

Księstwo Warszawskie nie znosiło poddaństwa!

W ten sposób cenie zapłaciłi polscy chłopci - i płacili ją jeszcze pół wieku, aż otrzymali wolność z rak cara. Gdyby mieli ją dostać z rak polskiej szlachty, to - sądząc ze skutecznego oporu przeciwko obecnej reformie gospodarczej - czekaliby na to do dziś. Co wynika nie z interesu lecz z głupoty owej szlachty, gdyż zniesienie poddaństwa przynosi korzyści również im.

Lupieni ziemianie kleli - ale milczeli bojąc się, że jedno zmarszczenie brwi Buonapartego może jeszcze spowodzić na nich niełaskę w postaci pełnego wprowadzenia Kodeksu Napoleona. Natomiast w sferach dworsko-militarnych panował entuzjazm. Szczegół hanby, jaka okryło się to środowisko, jest sprawą Marii Walewskiej.

Była to formalna małżonka szambelana Walewskiego, która miała szczęście wpaść w oko Cesarzowi, ale z poczucia przyzwoitości wcale nie chciała zostać jego metrsą. To poczucie przyzwoitości dotyczyło zresztą raczej stosunku do męża, wobec którego miała dług wdzięczności. Przy tym wszystkim całe towarzyszo tygodnia dokładało usilnych starań, by wpakować ją do łóżka Napoleona. Co w końcu się udało.

Sprawa jest znana - choć żadko tymi opisywana słowami. Z jakim jednak oburzeniem Polacy wypowiadają się o Żydach, którzy podsuwali władcom kochanki swojej rasy, by ich do siebie przychyliły usposobić! /.../ Tyle o Napoleonie - i o kobietach.

Zupełnie inaczej przedstawia się Aleksander I. Był to przystojny mężczyzna, bon viveur, podziwiany w całej Europie. Calej. Fetowano go jako zbawcę Europy zarówno w widniu jak i w Paryżu, uwiononym od zmory ciągłych wojen i koszmara rewolucyjnej frazeologii /Napoleon zachował - podobnie jak Stalin - całą, rewolucyjną fasadę/, z trójkolorowym sztafadem włącznie. Wiatowano na jego cześć zarówno w Londynie, jak i w Warszawie, gdzie w pełni doceniono jego wysiłki stworzenia liberalnego,

konstytucyjnego Królestwa - nawet kosztem swoich suwerennych ziem. Doceniano tam także wielkoduszność, z jaką przyjął do służby walczące przeciwko niemu wojska Królestwa - i zapewnił Królestwu samorząd.

Były to czasy, o których Puszkina słusznie pisał, że Rosja uratowała pokój, honor i wolność Europy.* Polacy mogą mieć do Rosji wiele słusznych pretensji - choć Polacy spalili Moskwę, a nie Rosjanie Warszawę....//

Tymczasem choćby Buonaparte posłał Legiony Dąbrowskiego do piekła lub na Antarktydę, a Walewska kazała poćwiartować i zjeść - to i tak dla d z z i s i e j s z y c h Polaków pozostanie on wielki i sympatyczny. Bo walczył z Rosją. Natomiast Aleksander I, którego spługawić się raczej nie da, pozostaje "Carem". Szokujące - ale nie spotkałem jeszcze żadnego pocztu Królów Polski, w którym figurowałby Aleksander I i Mikołaj I. A przecież obywatela przysięgali im wierność z entuzjazmem i legalności tego aktu nie kwestionowano.

Niedobrze, gdy wzrok zasłania bielmo. Choćby anty-rosyjskie.

O tym, jak utrata niepodległości i próby Jej odzyskania pogorszyły morale Polaków.

Czytelnik myliłby się sadząc, że książka ta jest jakimś specjalnym oskarżeniem narodu polskiego. Nie: żaden naród nie jest wolny od skaz na honorze /jak sadzę/. W okresie, który omawiać będę, można nawet wskazać kraje, skąd wywodzi się zaraza odpowiedzialna za zatrucie naszych umysłów.

Krajem tym są Włochy.

W okresie tym młoda inteligencja włoska wpadła na pomysł zjednoczenia mieszkańców Półwyspu Apenińskiego. Idea wywodzi się oczywiście z Imperium Rzymskiego - jak widać Mussolini! Jedynie kontynuował trend. Innych przesłanek nie ma: Włochy nie miały tradycji państwowych i gdyby np. Republika Cisałpińska zjednoczyła się z Langwedocją, to byłoby to politycznie równie rozsądne i możliwe. Mieszkaniec Genui mniej różnił się obyczajowo i językowo od Marsylczyka niż od Kalabryjczyka.

Tak czy owak: idea zaczęła być wcielana w czyn. Oczywiście "Młodym Italczykom" aniśmilo się pytać o zgodę i poparcie mieszkańców Rzymu, Wenecji, Neapolu lub Sycylii! Wenecjan kuszono wspomnieniami dawnej niepodległości /choć Włochy skrepuja ją bardziej, niż robiła to Austria/, mieszkańców Rzymu perspektywą zostania mieszkańcami Stolicy Kraju /choć wówczas przestali być mieszkańcami Stolicy Chrześcijaństwa/. Wątpić należy, by większość dała się nabrać: dzisiejsze przekazy są oczywiście całkowicie zafałszowane - nawet bez pomocy cenzury naturalne jest, że po zwycięstwie dzieła chwalców nowego porządku przytłoczyły nostalgiczne wspominki mieszczanina Parmy lub Florencji. Chłopa z Apulii nikt o zdanie nie pytał.

Ruch ten, nieco wcześniejszy od polskiego, stał się dla polskich narodowych rewolucjonistów wzorem. Straszny był to wzór!

Obejmował on już wówczas wykorzystanie chasy socjalnych /"karbonariusze"/ do celów narodowych - ale przede wszystkim: konspirację.

Afilacji tych w Polsce nie ukrywano - podobnie jak ONR nie będzie ukrywał wzorowania się na faszystach /nie mylić z nazizmem!/. Nazwy "karbonariusze" używano jak własne.

Niestety, każda konspiracja prowadzi do obniżenia morale konspiratorów. Przede wszystkim: uczy kłamstwa. Już to by

*) A. Puszkina: Połnoje sobranie sočinienij t.2 Moskwa 1954 r. /wiersz "Oszczerców Rosji"/.

wystarczyło - ale konspiracja uczy nie wierzenia ludziom, jeśli 41

nie należało do kliki - i nadmiernego zaufania do swoich /stad, gdy konspiratorzy zdobęda władzę, nieuchronnie pojawia się korupcja, gdyż podstawą stosunków między ludźmi władzy - czy będą to legioniści czy komuniści - będzie: "Swoje to swoje" i "nie mogę w to uwierzyć". Co więcej konspiracja uczy, że najwłaściwsze jest ukrywanie swoich zamiarów. Obywatele Polski nie powinni się więc dziwić, że nikt nie wie o zamiarach władzy - pewne nadzieje może za to łączyć z tym, że obecnie do steru dochodzi pokolenie pezetperowców, którzy nie przeszli przez szkołę konspiracyjną. O ile rozmaitych szkoleń i konwentykli za taką nie uważać.

Jednym z takich tajnych stowarzyszeń było "Towarzystwo Patriotyczne". Miało ono charakter częściowo masonski, a częściowo dekabrystowski. O rzadkości takich przypadków świadczy fakt, że Król - wówczas Mikołaj I - zamiast skorzystać ze swoich uprawnień administracyjnych, powołał Sad Sejmowy. Aleksander I zapewne wezwałby szefów spisku przed swoje oblicze, najpierw zapytał, a następnie awansował, kupując sobie w ten sposób ich lojalność. Mikołaj I był człowiekiem mniejszego formatu - ale był legalista i wierzył, że Polacy są legalistami. Tak go uczył ojciec, który na tym chciał budować w Polsce konstytucyjne królestwo.

Jakiż spotkał go zawód!

Patriotyczna Warszawa oszalała. Ze spiskowców - składnów całkowicie izolowanych społecznie - uczyniono bohaterów narodowych. Ten szalony garstek arystokracji - przeważnie kobiet - zaczął udzielać się, naturalna rzecz kolejną, warstwom niższym, pozostał jednak domena środowisk dworskich /pozbawionych dworu/. Sędziowie obradowali przy galerii pełnej histeryzujących i adlejących kobiet, przy powiewaniu chusteczkał - a przy kolacji słyszeli tyle aluzji o "obowiązku patriotycznym", że dziwić by nie mogło, gdyby zwykły człowiek załamał się. Był to istny terror moralny - i amerykańska procedura słusznie stanowi, że sędziowie przysięgli przez cały czas procesu nie powinni z nikim się widywać...

Tu jednak nie byli zwykli ludzie. To byli senatorzy Królestwa!

Niestety, dwóch tylko miało odwagę sprzeciwić się opinii publicznej. Wśród nich Wincenty hr. Krasieński, ojciec Zygmunta. Poeta lojalnie stanął po jego stronie - ale kosztowało go to zerwanie studenckich przyjaźni i znajomości. Zdaniem ówczesnej opinii sędziowie, którzy bez żadnego ryzyka /nic im nie groziło, poza niełaską towarzyską w Petersburgu/ podpisywali kłamliwe orzeczenie, że "Towarzystwo Patriotyczne" nie było sprzysiężeniem, byli bohaterami; ci natomiast, którzy oparli się naciskowi opinii i dali świadectwo prawdziwej oświeconości "zaprzękami". Doprawdy fantastyczne!

A jeszcze dziwniejsze jest to, że takie opinie do dziś cytują deprawatorzy młodzieży, piszący polskie podręczniki.

Zrozumiałe jest to, że po takim doświadczeniu stosunek Mikołaja I do Polaków uległ zasadniczemu pogorszeniu. Zostało to z całą rozkoszą odzwajęnione. Wydarzenia biegły tym torem aż do dramatu 29 listopada.

Warto dla porównania przytoczyć przykład W.X. Finlandii. Miało ono - jak sama nazwa wskazuje - gorszy status formalny niż Królestwo Polskie. Ono również przeżywało rozmaite fanaberie carów - i opierało się nieustannemu naciskowi carskiej biurokracji. Jak się dało - uzyskiwało pewne uprawnienia - jak car bardziej polegał na urzędnikach, to je traciło. Do pierwszej wojny światowej doznało jednak z większym zakresem autonomii niż Polska. I bardziej spójne narodo-

To po to, by przywoździć rozmaite brednie, że jedynie powstania nas zahartowały, zapewniły spójność narodową, dodały ducha, uniemożliwiły całkowite zrusyfikowanie kraju etc., etc.

Ja rozumiem, że człowiek, który popełnił serie kardynalnych głupstw potem skłonny jest do racjonalizacji /jak w psychologii nazywa się fachowo wymyślanie przyczyn usprawiedliwiających działanie skądinąd mało sensowne/. Na litość Boska! Od tych powstań minęło już ładnych parę lat. To nie wyszy je wyszłili - i przestały wierzyć bezmyślnym gawedom protowapniaków!

*) Polska nie jest wyjątkiem. Rdzenna Rosja zna przypadek Wiary Zasulicz, która wstąpiła się tym, że strzeliła do ministra Teodora Trepowa. Nie dała mu szans: poprosiła o audiencje, wyciągnęła pistolet z torebki i strzeliła. Po czym sąd przysięgłych ją u n i e w i n n i ł. Cesarz wyrok zatwierdził - i w trybie administracyjnym skazano ją jedynie na zsyłkę. To po to, by pokazać, że Rosja przed rewolucją była krajem nie tylko liberalnym ale i tolerancyjnym. Aż za nadto - gdyż umożliwiła tym samym działanie rozmaitym mordercom i fanatykom, którzy z Mikołajem II postąpili zgoła nie tolerancyjnie.

---Jest to fragment przygotowywanej do druku książki Janusza Korwina-Mikke "Honor, Prawda, Sprawiedliwość". Tytuł "Zdrajcy czy patrioci" pochodzi od redakcji.

Nowe stare UTOPIE

Na księgarskich półkach pojawiła się książka p. Władysława Wolgina pt. "Szkice o zachodnioeuropejskim socjalizmie utopijnym". Czytając rozdziały poświęcone Saint-Simonowi przekonujemy się, że społeczne ideały XVIII wieku trzymają się w dzisiejszym ztechnicyzowanym i zrationalizowanym świecie wciąż mocno. Pomysł Saint-Simona, Bazarda, Rodriguesa, utopijne dla naszych pradziadków, znalazły szerokie zastosowanie w wielu krajach współczesnej Europy. Oznacza to, że lewica nie łatwo się podda. I niech nikogo nie zmyli odwrót komunizmu! Marksizm, koncepcje rewolucyjnego przekształcenia świata zbankrutowały, ale socjalizm śledzący czasów Saint-Simona, twórczo rozwijany przez marksistowskich rewizjonistów, zapuścił głęboko korzenie w mentalności społeczeństw.

Tak naprawdę, to cała różnica pomiędzy Marksem, a Bernstainem czy Kautskym, sprowadzała się do sporu o metody. Rewolucja czy ewolucja? Efekt finalny miał być taki sam: stworzenie krainy wiecznej szczęśliwości. W obu przypadkach mamy do czynienia z heretykami ciągłotamizbudowania Królestwa Bożego na ziemi! Dzisiaj, gdy blok komunistyczny budowany zgodnie z wytycznymi Marksa diabli biorą, do ałana największych wrogów wolności urastają socjaliści i socjaldemokraci.

Zdaniem Saint-Simona, duchowego ojca wielu współczesnych socjalistów, wolność jest idea pustą i winna być zastąpiona przez idee solidarności i pożytku społecznego. Wolność jest przeżytkiem ustroju feudalno-teologicznego - głosi Saint-Simon - dzisiaj należy dążyć do zaspokojenia możliwie najszerszych potrzeb społecznych. Francuski filozof doskonale wiedział, że nie można zbudować systemu szczęśliwości proletariackiej przemocą, intuicyjnie wyczuwał, że klasy i instytucje przeznaczone przez jakobinów do likwidacji będzie można zaprząć do budowania nowego ustroju. I rzeczywiście - opinia publiczna była kształtowana przez dwa ostatnie stulecia przez nawiedzonych księci, szlachciców, lordów, wspomnianych głosami poetów i arystokratów /nota bene sam Saint-Simon należał do arystokratycznego rodu skolięganego z cesarzem Karolem Wielkim/.

Nie ma sensu, dowodził Saint-Simon, pozbawiać króla głowy i wycinać arystokratów, skoro świat podlega ściśle określonym prawom rozwoju i nowa, lepsza epoka nastanie nieuchronnie.

Może atramentu wylane przez "moralne autorytety" w obronie proletariatu użyłoby gębie Utopii. Narody uwierzyły, że człowiek nie jest w stanie udźwignąć ciężaru odpowiedzialności, muszą istnieć instytucje wspomagające, ułatwiające podejmowanie decyzji, "dostarczające jak największej środków i ułatwień dla zaspokojenia pierwszych potrzeb". Wyhodowano człowieka tchórzliwego, bezbronniego, poddanego manipulacjom kasty biurokratów.

Socjaliści zachowali demokrację wiedzac, że ten system polityczny znakomicie ułatwia manipulację. Wola afektowanego tłumu można wprowadzić prawa całkowicie sprzeczne z naturą i tradycją. Praw takich nie udaloby się zadekretować w systemie autorytarnym, szanującym z reguły porządek naturalny i serytoryczne kwalifikacje. Legalizacja zabiegów aborcyjnych, odebranie rodzicom prawa do karcenia dzieci, równouprawnienie związków homoseksualnych, zabieranie obywatelowi osiemdziesiąt procent wypracowanego zysku, druk fałszywego pieniądza w majestacie prawa - to cały łańcuch ustaw obowiązujących w najbardziej demokratycznych krajach Europy!!! Dlaczego socjaliści z taką zawziętością tropią naukę i tradycję? Dlatego, że prawo natury jest dla nich wymysłem Kościoła. Nie ma niewzruszonych praw boskich których ludzkość winna słuchać zawsze, niezależnie od epoki - głoszą socjaliści. Człowiek się zmienia a wraz z nim zmienia się system prawa. Człowiek może sobie wymyślić nowe prawa jeżeli uzna, że dotychczasowe cokolwiek go znęcały - oto dewiza socjalistów.

Tradycja kojarzy się socjalistom z tym co w epokach minionych było mroczne. Nie wolno, głosili na przykład saint-simonieści, powoływać się na tradycję narodu ponieważ naród to asocjacja minionych epoki epoki organicznej. Dzisiaj miejsce narodu zajmują uczucia wyższego rzędu - miłość do światowej rodziny ludzkiej!

Powodem dla którego socjaliści w wielu krajach nowożytnej Europy zdecydowali się zachować formalną demokrację był taki, że gdyby udało się bez zgody narodu wprowadzić w życie nowe, rewolucyjne prawa, ludzie mogliby po pewnym czasie zacząć szeszać, domagać się powrotu starego porządku. Demokracja stwarza złudzenie, że to społeczeństwo jest inicjatorem zmian, ludzie nabierają przekonania, że z własnej, nieprzymuszonej woli zmieniają ustawy i suwerennie decydują o swoim losie. Oczywiście myli się, ponieważ są jedynie instrumentami w rękach świetnych socjotechników dysponujących biurokratyczno-propagandowym aparatem perswazji. W przejmującej strachem książce Kublitskiego "Szwecja od środka" czytamy, że parlament szwedzki jest biernym ciałem zatwierdzającym mechanicznie decyzje podejmowane przez grupę "ajattolichów". Grupa ta składa się z przywódców i doradców kilku najsilniejszych związków zawodowych, dyrektorów generalnych różnych centralnych urzędów i szefów najpotężniejszych fabryk. Król, rzecz jasna nie ma nic do gadania. Jest atrapa mająca uwiarygadniać system. Saint-Simon przewidział to już dwadzieścia lat temu.

Socjaliści trochę mądrzejsi od swoich moskiewskich towarzyszy, nie zlikwidowali również prywatnej własności środków produkcji. Tłuste owce zamiast pod noż zostały ostrzyżone do gołej skóry. Socjaliści przeoczyli jednak, że częste strzyżenie powoduje gorszą jakość wełny. Państwa które pod rządami liberalnego kapitalizmu rozwijały się błyskawicznie, wraz z rozbudową systemu podatkowego zmniejszyły tempo wzrostu o kilka procent. Nikt na to nie zwraca uwagi, ponieważ udaje się wcielać w życie obiedna tezę saint-simonistów głoszącą, że to robotnicy a nie zysk są głównym celem wytwórczości. Robotnicy zadowoleni są z gwarantowanego minimum zarobków, ich żony z macierzyńskich urlopów i zasiłków rodzinnych, dzieci z bezpłatnego szkolnictwa. Wszyscy są

szczęśliwi nie wiedząc, że gdyby jak dawniej celem wytwórczości pozostał zysk a nie dobro pracownika ich szczęście i zamożność byłyby dużo większe. Przecież pieniądze na rozmaite fundusze socjalne z których finansuje się pomoc i funkcjonowanie instytucji opiekuńczych pochodzą z podatków od dochodów osobistych. To nikt inny, ale robotnik z własnych pieniędzy funduje sobie różne ulgi socjalne. Tyle tylko, że czyni to za pośrednictwem państwa, które przy okazji trwoni część jego pieniędzy na pomoc dla różnego rodzaju leni i degeneratów. Oto istota państwa opiekuńczego! Oto zrealizowana idea saint-simonistów pod sztandarami których

To nie wszystkie pomysły "utopistów" które wiek XX konsekwentnie realizuje. Uznano, że poleganie na indywidualnej inicjatywie jednostki byłoby za mało niebezpieczne. Anarchia panie dziej! Wobec tego należy powołać kompetentny komitet uczonych mężów którzy metodami ściśle naukowymi będzie planował rozwój gospodarki. Zdyscyplinowane planem społeczeństwo będzie reagowało w pełni racjonalnie na bodźce rynkowe. Zapomniano tylko o pewnym drobiazgu - że zaplanowany ogólnie rynek nie jest już rynkiem ale biurokratycznym tworem o całkowicie rozchwianych parametrach.

Socjaldemokraci nie są, broń Boże, zwolennikami przytłumionego egalitaryzmu. Uważają, podobnie jak ich protoplaści z XIX wiecznej Francji, że nierówność wynagrodzenia pobudza do pracy. Nie może być zatem równych płac, wszyscy są natomiast równi w jednym: nie ma ludzi żyjących z kapitału czy majątku czy też żyjących z zysku". Dlatego w imię tak pojmowanej równości, obserwujemy dzisiaj w Stanach ostrą batalię o zwiększenie podatku od kapitału. Jakos nikomu nie chce przyjść do głowy, że pozbawienie kapitalisty jego narzędzia pracy czyli kapitału spowoduje zanik inwestycji a w efekcie bezrobocie i poszerzenie sfery ubóstwa.

Czyżby innym, jak nie realizacja ideału Saint-Simona są subsydia i dotacje EWG dla "właścicieli zasługujących na poparcie ze względu na zdolności jakie wykazują". Zdolności te nie są mierzone tempem poażań zysków ale stopniem inwestycyjnego zaangażowania w dziedzinie ważne społecznie - ekologii, rolnictwo itp!

Jak się okazuje, Saint-Simon i twórczy kontynuatorzy jego rozważań nie byli utopistami ale przenikliwymi obserwatorami świata, potrafiącymi przewidzieć koniunkturę.

Jacek Debaki

LIBERALIZM w okowach ETATYZMu

Często się pisze, że metody liberalne nie są wcale takie doskonałe ponieważ na Zachodzie bywają kryzysy. Jest inflacja, słodziej nie ma pracy a produkt narodowy rośnie wolno. Oczywiście to wszystko prawda ale te defekty kapitalizmu nie są wynikiem rozwiązania liberalnego ale ingerencji państwa w gospodarkę! Na Zachodzie od dziesiątków lat stosuje się zgoła socjalistyczne metody ingerencji państwa w sferę płac i cen. Model keynesowski (socjaldemokratyczny) trzyma się mocno pomimo ofensywy kierunku liberalnego reprezentowanego przez Friedmana, Hayeka, Gildera. Socjaldemokraci wydumali sobie, że można hamować inflację za pomocą administracyjnego ustalania pułapów płac i cen. Popierają ich w tym zwłazki zawodowe a szczególnie liderzy zwłazekowi, którzy dzięki temu urastają do roli decydentów politycznych.

Jak wygląda w praktyce ten proces ingerencji państwa w wolny rynek? Otóż stosuje się różnego rodzaju pułapy i limity

wzrostu płac lub cen, ich przekroczenie karane jest nakładaniem dodatkowych podatków. Czasami nawet wprowadza się (krótkoterminowo na szczęście) zamrożenia płac i cen w najważniejszych działach gospodarki. Czyż nie jest to metoda przypominająca jak żywo najgorsze wzorce gospodarki socjalistycznej?

Jakich argumentów używają zwolennicy tych paranoicznych pomysłów? Według nich gospodarka kapitalistyczna ma charakter dychotomiczny - z jednej strony potężne związki zawodowe, z drugiej wytworzone monopole. W takiej sytuacji tylko państwo może chronić obywateli i rynek konsumenta przed niszczącą dominacją jednych i drugich. Oczywiście wizja gospodarki wolnorynkowej gwałconej przez związki zawodowe i kapitalistycznych magnatów jest nieprawdziwa. Owszem, związki zawodowe mają poważne wpływy ale to właśnie państwo znacząco ich znaczenie negocjując z nimi na tematy płac i dochodów. Problemy te powinny być rozstrzygane wyłącznie na wolnym rynku pomiędzy kupującym a sprzedającym, właścicielem a pracownikiem. A kto jak nie państwo tworzy monopole? Już w momencie gdy tworzył się nowoczesny przemysł tendencje etatystyczne aparatu państwowego przyczyniały się do powstawania monopolu. To państwo stworzyło w Królestwie Polskim potężne monopole solne, tabaczniane, wódczane, cukrownicze itp. Ingerencja państwa w sferze wytwarzania i podziału dochodu narodowego nie tylko nie łagodził napięć rynkowych ale je zdecydowanie wzmacniał!

Prześledźmy całą sprawę na przykładzie. Wyobraźmy sobie, że jakiś produkt powinien kosztować 110 złotych ale organ kontrolny ustala cenę na 100. Kapitalista ma wówczas dwa wyjścia albo obniżyć koszty wytwarzania albo zbankrutować. Przypuśćmy, że wybrał pierwszą ewentualność. Jest prawie pewne, że zrobi to kosztem pracowników obniżając im płace. Na surowcach i maszynach nie zaoszczędzi ponieważ każdy przymusił maksymalnie racjonalizuje zużycie materiałów i urządzeń i tutaj rezerw nie znajdzie. Jeżeli tak, to jasno widać, że straci wyłącznie pracownicy! Demagogiczne jest zatem twierdzenie, że ingerencja państwa służy ludziom pracy. Jest dokładnie przeciwnie! A gdy kapitalista zbankrutuje? Wówczas będzie mniej towarów, ludzie będą ustawiać się w kolejkach, a towar na czarnym rynku będzie "chodził" nie po 110 ale po 170 złotych. Tyle! tylko tyle zyskają na pomocy państwa konsumenci! Oczywiście przejrzałbym, w dobrze prosperujących gospodarkach krajów kapitalistycznych wycinkowe, nawet poważne, zakłócenia na rynku nie spowodują tak dramatycznej sytuacji. Nie zapominajmy jednak, że powolne, acz trwale narastanie tendencji etatystycznych może skończyć się znacznym ograniczeniem swobody gospodarczej a wówczas dolegliwości stana się naprawdę odczuwalne. Jak mówi przysłowie "Od rzeszyczka do koniczka...".

Poza tym, tworzenie różnych komisji d/s kontroli i "usuwania niesprawiedliwości" łączy się z zatrudnianiem potężnej armii biurokratów, którzy żyją na koszt podatników. Podatników tzn. nie tylko producentów ale wszystkich obywateli którzy płacą podatek od dochodów osobistych.

Niektórzy socjaliści twierdzą, że kontrola cen nie obniży płac pracowników ponieważ pracodawca jest obowiązany układać zbiorowymi i związki zawodowe przypilnują właściwego wynagradzania robotnika. Nie wszyscy również zbankrutują, twierdzą socjaliści, spora liczba kapitalistów będzie prowadziła swoje firmy dalej, zadowolili się mniejszymi zyskami. Przypuśćmy, że socjaliści mają rację. Co wówczas? Mniejszy zysk kapitalistów to mniej pieniędzy do zainwestowania a zatem mniej fabryk, mniej miejsc pracy i w efekcie strata dla dzieci dzisiejszych robotników, które nie znajdują pracy. I nikt się już nie umówi, że

Jest to także demagogiczny argument liberała.

Polityka kontroli cen i dochodów prowadzona jest w USA od ponad 30 lat. Dochodziło już do tak kuriozalnych sytuacji, że prezydent Kennedy osobiście zaangażował się w problem ustalania cen stali! Co za degradacja majestatu prezydenta! A co robił Nixon? Zniósł wymienialność dolara na złoto, postanowił, że o czynszach nie będzie decydować właściciel lokalu ale Pay Board, o cenach Price Commission a o kosztach utrzymania Cost of Living Council. Carter kontynuował tę absurdalną politykę, która kosztowała Amerykanów...10 miliardów dolarów!!! Tak dzieje się zawsze gdy o wszystkich parametrach produkcji i konsumpcji nie decyduje wolny rynek ale ministerstwa, urzędy i instytucje. Polityka interwencjonizmu państwowego nawet zamożnych i statecznych Amerykanów doprowadziła do rozpacz, czemu dali wyraz w wyborach głosując 8 lat temu na szalonego kowboja z Kalifornii. Na całe szczęście-jak się wkrótce miało okazać!

Jacek Debski

c.d. ze str.32

możliwości wzrostu produkcji i powrotu gospodarki do zrównoważonego wzrostu. Po drugie: pozwala to bezkarnie przesuwając rządowi negatywne skutki swej działalności znajdujące wyraz w finansach budżetowych na następne ekipy sprawujące władzę. Z tych względów kontynuowanie długu publicznego w jakiegokolwiek postaci winno zostać konstytucyjnie zakazane

5. Pseudoelegancja instrumentacji kredytowo-monetarnej

Deklarowana przez czynniki oficjalne filozofia monetarystyczna nie znajduje pokrycia w rzeczywistości dlatego, że nie bardzo została zawarta w programie, a po drugie, nawet gdyby była to i tak nie miałyby szans na realizację. Zaczniemy od drugiego. Monetarystyka jest filozofią gospodarek, które mają instytucje rynkowe tzn. prywatne banki, rynek kapitałowy, czule na kategorie finansowe przedsiębiorstwa prywatne, gdzie istnieją prawdziwe stopy procentowe, kursy, stopy zysku. Gdzie istnieje konkurencja zagraniczna a praktyki monopolistyczne ścigają sądy. Tych warunków na przedpolu do skutecznej polityki monetarnej nie ma. Zatem zafundowaliśmy sobie silnik - dzięki kilku Panom z MFV i z zagranicznych uniwersytetów - nie od tego pojazdu.

Dalej, zasoby bankowe zamrożone zostały w państwowych przedsiębiorstwach wg zasady podmiotowo-rzeczowego udzielania kredytu na tzw. zdolności kredytowe. Kredyt nie jest udzielany na krótkookresowe przedsięwzięcia. Czyli nadal znajdują się tam, gdzie zgodnie z zasadami alokacji administracyjnej skierował je centralny planista. Np. kredyt dla deficytowej Stoczni Gdańskiej i innych nie został wycofany. Podobnie kredyt dla deficytowych kopalń. Tolerowane są przez system bankowy gigantyczne zatory finansowe wywołane przez niewypłacalny budżet. Uruchamia się nadal kredyty na aekonomiczne inwestycje centralne i paracentralne. W planie kredytowym NBP zapisane jest więcej źródeł naszych nieszczęść niż w deficycie budżetowym. Plan ten nie znajduje się pod żadną kontrolą publiczną, gdyż jego zadanie nadal jest jasne; utrzymać przy życiu strukturę gospodarczą z gospodarką internacjonalistyczną. Plan kredytowy NBP nie został przekształcony w narzędzie tworzenia nowej struktury gospodarki, w narzędzie ew. interwencyjnego wspierania nowej polityki przemysłowej.

Takiej polityki przemysłowej nie ma. Ani CUP ani Min.Przemysłu

ani Współpracy z Zagranicą nie wypracowali podstaw takiej polityki. Nie wskazano, które dziedziny będą rozwijane, a które hamowane. Nie wskazano cyklu realizacji określonych celów takiej polityki np., że najpierw uwolnione zostaną ceny dóbr konsumpcyjnych a potem przemysłów we wstępnych fazach przemysłów wytwórczych. Brak programu polityki przemysłowej, zawiesza instrumentację monetarystyczną w abstrakcyjnej próżni akademickiej. Nie pozwala społeczeństwu zrozumieć o co chodzi w żargonie neoliberalistów rządowych. To jest wielką słabością programu rządowo-parlamentarnego. Nie ma w nim realnych celów gospodarczych. Jest tylko systemowa abstrakcja. Jakby o realizację abstrakcji chodziło w programach gospodarczych.

Przykładem nieszczęść, do których prowadzi tego typu myślenie oderwane od realnej polityki przemysłowej jest dopuszczenie do gigantycznych wzrostów na teren Zw.Radz. naszych eksportów. Od września saldo przyrasta miesięcznie po 250 mln RT. W styczniu i w m-cach następnych będzie jeszcze szybciej się powiększało. Przedsiębiorstwa zachęcane wysokim ponad jakakolwiek miarę przelicznikiem rublowym oraz petykując się o twarde ograniczanie na Zachodzie i w kraju, wywożą wszystko na Wschód. Krajowi dostarczają zaś rzeki pustych - bo bez importów stamtąd - złotych. Błąd to czy nieudolność. Skutek jest ten sam. Narasta inflacja na skutek całkowicie obłądnej polityki przemysłowej z RWPG, a jej źródła szuka się w polskich placach na poziomie Afryki. Brak zmian systemowych - finlandyzacji stosunków - jeszcze można zrozumieć. Błędy w polityce przemysłowej ze Zw.Radz. i brak reakcji na sytuację od września to ... zdrada stanu.

Wnioski:

1. Program nie osiągnie deklarowanych zamierzeń, gdyż wraz z nim nie wprowadzone zmian instytucjonalnych jak prywatyzacji demonopolizacji czy wyrazistego otwarcia gospodarki na rynek światowy.

2. W programie nie określone realnych celów polityki przemysłowej państwa ani też nie powołano ich z określonymi instrumentami. Dlatego też program jest kolejnym etapem "doskonalenia systemu realnego socjalizmu, a jego celem przewrzuć koszt podtrzymywania socjetatystycznej struktury na barki pracujących i kreatywnych warstw, kosztem spadku stopy życiowej. Jedyne co go różni od programów poprzednich to inna warstwa artykulacji słownej, tym razem z arsenału słownictwa neoliberalnych szkół ekonomicznych.

3. Program zasada się na realnej redukcji popytu krajowego konsumpcyjnego o ok. 1/4 i ograniczonej recesji produkcji. Przez sztucznie korzystne przeliczniki rublowe i dolarowe program zmierza do zwiększonej skali wywozu /dodatnie saldo w wymianie handlowej/ na Wschód i Zachód.

4. Pomoc finansowych instytucji międzynarodowych nie zostanie przeznaczona na zwiększenie podaży na rynku krajowym lecz zostanie przeznaczona na obsługę i spłatę długów.

5. Zmiana przeliczników walutowych, redukcji dotacji budżetowych wywołują falę inflacji kosztowych o skutku wyższym wielokrotnie niż zapowiadane tj. : 140% w skali roku. Inflacja ta spowoduje złamanie przez przedsiębiorstwo twardej polityki monetarnej, złamanie blokady plac a ostatecznie przyczyni się do kompletnej anarchizacji życia gospodarczego. W efekcie rząd upadnie oraz rozpisane zostaną nowe wybory.

6. Najbardziej nieodwracalne negatywne skutki rzeczowe spadku produkcji i podaży wystąpią na skutek przeprowadzonych działań w sektorze przedsiębiorczości prywatnej i rolnictwa indywidualnego.

Pismo

KONSERWATYWNYCH LIBERAŁÓW

WROCŁAW

Anschluss?

Dzisiaj jedność Niemiec odpowiada nie tylko uczuciom i ideałom ogromnej większości Niemców - ale także ekonomicznym, a zwłaszcza przemysłowym i handlowym interesom ludności wszystkich, dawniej niezależnych państw niemieckich.

(Roman Dmowski "Polityka polska i odbudowanie państwa")

Dużo się dziś mówi, z większym lub mniejszym entuzjazmem, o zjednoczeniu Niemiec. Warto jednak przypomnieć, że aby dokonać pod swoją egidą zjednoczenia musieli Prusy stoczyć kilka zwycięskich wojen i że cały ten wysiłek militarny niezbyt się opłacił. W 20 lat po śmierci Ottona Bismarcka dzieło jego życia zostało poważnie naruszone, a w 47 lat po jego śmierci zniszczone. Niemcy przegrały dwie wojny światowe, utraciły wiele swych terytoriów a naród niemiecki złożył w ofierze miliony swych synów. Nie jest to specjalnie korzystny bilans dla zjednoczenia Niemiec. Zjednoczenia w ogóle rzadko bywają dla narodów, żeby przypomnieć choćby zjednoczenie obu Wietnamów. Również nasze doświadczenia ze scaleniem trzech zaborów winny dawać do myślenia. I niektórzy myślą: "Adam Krzyżanowski, świetny ekonomista, zawsze mówił, że pod względem ekonomicznym nie tyle w Galicji, ale zwłaszcza w zaborze rosyjskim nie było aż tak źle, i że tak już niestety nie będzie... Straciliśmy bardzo wiele przez naszą niepodległość. Straciliśmy rynki wschodnie, które utrzymywały nasz przemysł na terenie Kongresówki, straciliśmy również możliwości gospodarki rolnej na terenie Niemiec, jeśli chodzi o Poznańskie, ale i w Galicji, choć w Galicji najmniej". (A. Kusniewicz, "Odra" 1986 nr 10, str. 24).

Zjednoczenie niesie zwykle ze sobą wzmożenie centralizacji, a wraz z nią niszczenie odrębności lokalnych i regionalnych. Centralizacja pociąga również za sobą znaczne zwiększenie wydatków rządowych. Łączny deficyt budżetowy wszystkich pojedynczych państw włoskich wynosił w 1859 roku 50 mln franków, zaś w roku 1866 - 350 mln. Wzrósł więc siedmiokrotnie.

Politycy dążyli do zjednoczenia, gdyż idzie o to w parze z poszerzeniem zakresu ich władzy. Trzeba pamiętać, że w latach 1968-88 liczba pracowników sektora publicznego w RFN wzrosła z 2,9 mln do 3,8 mln. Niewątpliwie mogą oni przejawiać tendencje ekspansyjne. Miarą siły biurokracji zachodnoniemieckiej niech będzie fakt, że od powstania RFN wydano 15 000 ustaw i daleko więcej rozmaitych przepisów administracyjnych.

Gdy po roku 1918 likwidowano w Polsce "odrębności dzielnicowe" dokonywało się to na warunkach korzystnych dla biurokracji a nie dla obywateli. Tam gdzie nie było jeszcze jakiegos monopolu - wprowadzano go, podobnie dzieło się z cłami, podatkami, itd. Obawy Wielkopolan przed zgłęszaltowaniem i najezdem urzędników z Warszawy były całkowicie uzasadnione. To, co najgorszego może spotkać Niemców po zjednoczeniu to etatyzacja na poziomie zbliżonym do eberdowskiego i socjalizacja na wzór erefenowski. Wolno chyba przewidywać załamanie systemu opieki socjalnej RFN niezdolnego do utrzymania masy nowych beneficjentów.

Zjednoczenie Europy zaplanowane w Brukseli nie przewidywało zjednoczenia Niemiec. Granica Europy miała pozostać taka. Stąd niechęć Niemców do brukselskiej centrali. Najbardziej do zjednoczenia paria Francja chcąc w ten sposób scementować podział Niemiec. Niedwuznacznie dał to do zrozumienia p. prez. Mitterand w wywiadzie dla "Wall Street Journal" - "O ile nie zostanie przyspieszone tempo integracji zachodnioeuropejskiej (podkr. moje - A. P.), Europa ryzykuje tym, że ponownie wyłonią się odwieczne spory, które mogłyby podzielić kontynent na zwalczające się nacjonalistyczne strony". Anschluss NRD byłby gwóździem do trumny zjednoczonej Europy. Trudno bowiem wyobrazić sobie aprobatę Francji dla hegemonii Niemiec w łonie przymierza europejskiego. Opor wobec idei 1992 roku przejawiali i przejawiają Anglicy znani ze swej niechęci do niwelatorskich pomysłów, które legną się w głowach eurokratów. Nie sądzę, aby należało rozpacz z powodu tak szybkiej klęski idei zjednoczonej Europy. Europa, a zatem i Niemcy (a także: Rosjanie, Polacy, Czesi, Węgrzy...) potrzebuje wolności i gwarancji dla własności prywatnej, co musi się wiązać z likwidacją barier celnych, likwidacją wszelkich form planowania (w tym takich jak EWG i RWPG), denacjonalizacja, powrotem do rządu - minimum. Wolna (od socjalizmu) Europa: tak! Europa zjednoczona przez eurokratów: nie!

Powróćmy jednak do kwestii niemieckiej. W Polsce brak jest dalekowzrocznej polityki wobec Niemiec. Jednak perspektywa powstania Czwartej Rzeszy powinna szybko doprowadzić do zmian w tej materii. Niemcy bowiem są dla Europy sprawą kluczową. Wiedzianno o tym już bardzo dawno. Wybitny konserwatysta Fryderyk Gentz pisał: "Europa upadła przez Niemcy. Przez Niemcy musi ponownie się podnieść".

Co powinniśmy robić? Czego wymaga mądra polityka polska. Przede wszystkim, jak sądzę, dobrych stosunków z Czechosłowacją i Rosją ("Rządy sowieckie w Rosji przeminą, ale Rosja zostanie"). Aby jednak w oczach naszych sąsiadów z południa i ze wschodu stanowić porządnego sprzymierzeńca, trzeba najpierw postawić na nogi naszą gospodarkę. Dodatkowa gwarancja, że będziemy dla nich coś warte jako sojusznicy to porządna, zawodowa, silna armia a nie pospolite ruszenie zwane Ludowym Wojskiem Polskim. Sądzę, że po spełnieniu tych warunków będziemy szczególnie szanowani właśnie w Bonn i Berlinie.

Dalekowzroczna polityka w stosunku do Niemiec pozwala uniknąć sięgania po chwilowe korzyści wynikające z popierania "destalinizacji NRD", czego pragnie p. A. Michnik. Podobnie rzecz się ma z "odwetem" starszakami, którym wumachuje p. Leszek Miller. Mądra polityka to połączenie prawdy i ostrożności, uczciwości i rozważli, honoru i siły. Honesty is the best policy.

'Prawo do samostanowienia'

czy NOWY BISMARCK ?

W wielu dyskusjach na temat zjednoczenia Niemiec mówi się o prawie do samostanowienia. Powołują się na nie sami Niemcy, a wielu Polaków przyznaje im rację przypominając sobie, że i w Polsce w XIX r. na to samo prawo się powoływano. Tymczasem nic takiego jak prawo do samostanowienia nie istnieje. Prawo zakłada bowiem istnienie jakiejś instancji, do której można się odwołać w przypadku, gdy ktoś jest owych praw pozbawiony. Może to być policja, sąd, rząd itd. Do kogo jednak odwołać się można w przypadku, gdy ktoś uznaje, że nie jest realizowane prawo do samostanowienia? Do ONZ, "sumienia" światowej opinii publicznej, rządów czy ludów świata? To, co nazywa się prawem do samostanowienia wyraża w terminach realnej polityki wyłącznie zdolność do zdobycia lub rozszerzenia zasięgu terytorialnego swej władzy. Ci, którzy taką zdolność posiadają nie muszą powoływać się na prawo do samostanowienia. Robią to ci, którzy będąc słabsi usiłują wyrzucić moralną presję na silniejszych.

Prawo do samostanowienia staje się zwykle instrumentem w grze politycznej. W I Wojnie Światowej używali tego hasła Niemcy przeciw Rosji, Anglicy z Francuzami przeciw Austrii. Bismarck wykorzystał je do zjednoczenia przez Prusy Niemiec, Anglicy i Francuzi do zniszczenia Austro-Węgier.

W rzeczywistości nie ma żadnego abstrakcyjnego prawa do samostanowienia. Jest ono zawsze prawem sytuacyjnym wykorzystywanym przez kogoś przeciwko komuś.

Jeżeli elita polityczna RFN /a może i NRD/ dąży do zjednoczenia to musi mieć po prostu dość siły, aby tego dokonać. A wówczas uczyni to, nie zważając na to, co powiedzą siły polityczne innych krajów. Ponieważ zjednoczenie Niemiec pociągnie za sobą wielkie zmiany w układzie sił w Europie, jest rzeczą oczywistą, że elity polityczne innych krajów jakoś na to zareagują nie przejmując się zupełnie, czy jest to zgodne z "prawem do samostanowienia" czy też nie. Walka o władzę toczona na płaszczyźnie międzynarodowej nie ustaje ani na moment.

Z polskiego punktu widzenia najlepiej by było, gdyby pozostały dwa państwa niemieckie, a NRD przekształciła się w kraj o zagwarantowanych wolnościach osobistych, w którym panuje wolna gospodarka rynkowa oparta na prywatnej własności. Być może tak się stanie, o ile nie zablokują tego procesu siły lewicowej opozycji w NRD.

Natomiast politykom w Bonn chciałbym zwrócić uwagę na fakt, że kanclerz Bismarck mógł zjednoczyć Niemcy i zjednoczenie utrzymać tylko dlatego, że rządził nieprzerwanie prawie 30 lat i miał za sobą króla. Gdyby był zależny od parlamentu zostałby na pewno obalony i Niemcy nie zostałyby zjednoczone. W latach 1870-1914 rządziło 5 kanclerzy. W demokratycznym państwie partyjnym rządziłoby w tym czasie być może 11. Polityka zagraniczna państw demokratycznych nigdy nie jest stabilna i konsekwentna. Niechaj więc Niemcy szukają nowego Bismarcka. Może go znajdą. Muszą tylko uważać, żeby jaki "Spiegel" lub "Stern" go nie ustrzelili.

niemieckiej mniejszości w Polsce

Przy okazji wizyty kanclerza w Polsce odbyły dyskusje na temat mniejszości niemieckiej w Polsce. Dotychczas dyskutowano na temat mniejszości białoruskiej, ukraińskiej czy litewskiej i to dyskutowano w sposób całkowicie pomijający istotę sprawy, co jest o tyle naturalne, że dyskutowali intelektualisti, którzy do żadnych ostatecznych wniosków nie chcą dochodzić, bo nie mogliby wtedy dalej dyskutować i musieliby się zająć czymś poważniejszym, choćby myśleniem. To zapewne wśród tych samych dyskutantów narodził się projekt specjalnej ustawy o tzw. mniejszościach narodowych. Najpierw dyskutowano o ustawie, potem o poprawkach, i jeszcze przez długie lata będzie można dyskutować o skutkach ustawy i ciągle ją doskonalić w toku permanentnej dyskusji.

Trudno mi pisać o mniejszościach, bo w moim systemie pojęć politycznych przeciwstawienie mniejszość - większość nie mieści się. Pojęcie mniejszości jest poronionym tworem epoki rozpanoszonej demokracji. W monarchii nie mogło być mniejszości bo po prostu nie było większości - byli jedynie poddani króla. To dopiero w naszych czasach, gdy ludzie wyzbywają się godności dając się liczyć jak śledzie w beczce pojawiło się przeciwstawienie mniejszość - większość. Człowiek został zredukowany do anonimowej i wymiennej cząstki, której jedynym zadaniem jest współtworzyć liczbę - większą lub mniejszą. To właśnie ta demokratyczna "numeryzacja" człowieka, zredukowanie go do elementu anonimowej masy było, jak pisze p. Eryk von Kuehnelt-Leddihn w książce "wolność czy równość" pierwszym krokiem na drodze wiodącej ku komorom gazowym.

W naszej nieszczęsnej epoce ludzie nie są indywidualnościami lecz członkami mniejszości lub większości, przedstawicielami klasy lub rasy, podatnikami, producentami lub konsumentami, rekrutami, nosicielami chromosomów, obiektami spisów powszechnych, podopiecznymi instytutów badania opinii publicznej. W demokracji nieustannie liczy się nosy, rozkwita statystyka (demokracja to jak twierdził J. L. Borges potworne nadużycie statystyki), następuje totalna kwantyfikacja wszystkiego i wszystkich. Ciągłe ktoś ogłasza jakieś dane: a to, że 65% jest za a reszta przeciw, a to, że 95% myśli tak a tak a 95% inaczej. I każdy może sobie z dumą powiedzieć: należą do większości, albo ze smutkiem stwierdzić: "jestem w mniejszości". I w ten sposób wreszcie wie, kim jest.

Ale powróćmy do naszych baranów, czyli do mniejszości niemieckiej w Polsce. dla liberała - zwolennika nienaruszalności własności prywatnej, wolnej gospodarki rynkowej, całkowitej swobody zawierania kontraktów, obrońcy Rządów Prawa, sprawiedliwego opodatkowania i rządu - minimum problem mniejszości po prostu nie istnieje!

Doskonale pokazał to p. Janusz Korwin-Mikke w artykule "O mniejszościach - liberalnie" ogłoszonym w piśmie "Wbrew" (1989 nr.4).

W państwie, gdzie panują Rządy Prawa wszyscy obywatele cieszą się "równą wolnością". Nie chodzi więc o to, żeby akurat Niemcom przyznać prawo do wydawania książek po niemiecku - każdy obywatel jeśli chce, może założyć wydawnictwo, wydawać książki w dowolnym języku, i sprzedawać je komu chce, jak chce i po ile chce. Ponieważ w systemie wolności istnieją wyłącznie szkoły prywatne nie ma więc żadnego problemu z językiem wykładowym. Mogą być otwierane szkoły, w których uczyć się będzie po chińsku - rząd nie będzie się troszczył o to, w jakim języku uczą się obywatele. należałoby w ogóle znieść Ministerstwo Oświaty i zaprzestąć narzucania jednolitego programu szkolnego. Kto wie, może powstana

szkoły, w których będzie się nauczać, że ziemia jest płaska. Nie miałbym nic przeciwko temu, choć własnych dzieci bym tam nie posłał a gdybym był właścicielem przedsiębiorstwa turystycznego organizującego wycieczki dookoła świata to nie byłbym specjalnie zadowolony z rozpowszechniania tej idei. O zniesieniu przymusu szkolnego, który był pierwszym krokiem na drodze ztotalizowania społeczeństwa nawet nie wspominał, bo to rzecz oczywista. Nie tak dawno głośno była w USA sprawa pewnego Mormona, który nie chciał oddać dzieci do szkoły publicznej (innej w okolicy nie było) słusznie sądząc, że jest ona siedliskiem występku i demoralizacji. W końcu nasłano na niego policję i dzielny ojciec zginął w trakcie wymiany strzałów z policjantami, którzy zamiast zajmować się przestępcami z bronią w rękę walczyli z groźbą analfabetyzmu. Znana jest też historia 16-letniego Michaela Flynna z Columbus (Ohio) cierpiącego na dystrofię mięśni, któremu lekarze nie dają więcej niż dwa lata życia (jego ojciec również umarł na tę chorobę). Urzędnicy oświatowi zagrozili matce, że jeśli Michał nie będzie uczęszczał do szkoły to zostanie zabrany z rodzinnego domu. Można zapytać, kto upomni się o tę dwuosobową mniejszość, składającą się z matki i syna wydana na pastwę samowoli, głupoty i wręcz okrucieństwa bezdusznych biurokratów.

Gdzieś przeczytałem, że naślasku nie pozwalano rodzicom nadawać dzieciom niemieckich imion. takim praktykom należy się stanowczo przeciwstawić ale nie w imię wyimaginowanych praw mniejszości ale dlatego, że o nadaniu imienia decydują wyłącznie rodzice i żaden urzędnik nie ma tu nic do gadania. Nie mogą istnieć żadne urzędowe spisy imion - decydują wyłącznie rodzice.

We wspomnianym już numerze pisma "Wbrew" jeden z autorów pisze, że mniejszość cygańska szykanowana była przy pomocy nakazu meldowania się. Ale w wolnym kraju nikt nie potrzebuje przestrzegania przepisów meldunkowych, bo ich po prostu nie ma. Są one, podobnie jak dowody osobiste, reliktem państwa policyjnego.

Widzimy jasno, że problem mniejszości narodowych pojawia się dopiero w państwach demokratyczno-centralistyczno-socjalistyczno-etatystycznych, w których rządy ingerują bezustannie w życie prywatne obywateli, reglamentują ich działanie, wtracają się do spraw rodziny, opodatkowują jednych na rzecz innych itd. Zobaczymy co się może stać, gdy rządy ingerują w stosunki pracy. P. Janusz Korwin-Mikke pisze w swym artykule o możliwości wydania przepisu nakazującego wszystkim obywatelom wykonywać coś w sobotę. Taki przepis ograniczałby wolność obywateli ale przy okazji stwarzałby problem mniejszości żydowskiej, bo zmuszałby żydów do nieprzestrzegania szabatu. Ale ten przykład użyty przez P. Janusza Korwin-Mikke nie jest przykładem czysto teoretycznym. W Polsce przed wojną tzw. partie robotnicze przymuszowały, zapewne w obawie przed machinacjami kapitalistycznych krwiopijców, ustawodawstwo nakazujące rygorystycznie odpoczynek niedzielny. Jakże to miało skutki dla religijnych żydów (ekonomiczne rzecz jasna), nie trzeba tłumaczyć. Zwolennik systemu wolności i Rządów Prawa nie będzie żądał zniesienia tego przepisu dlatego, że godzi on w jakąś mniejszość ale dlatego, że z zasady jest przeciwnikiem ustawowego regulowania czasu pracy, dni w jakie się pracuje, długości urlopów itd. Pozostawia to wolnej umowie między pracownikiem a pracodawcą.

Na marginesie drobna uwaga polemiczna do artykułu P. Korwina-Mikke. Pisze on, że w konstytucji powinna znaleźć się podstawowa zasada nie-dyskryminacji: "Jakiegokolwiek postanowienie aktów, ustaw, rozporządzeń lub innych zarządzeń władz państwowych wymieniające nazwę jakiegokolwiek narodu lub grupy etnicznej - jest z mocy prawa automatycznie nieważne".

Ale przecież, żeby taka zasada miała sens to trzeba by umieścić w niej o wiele więcej określeń dotyczących rasy, religii, cech fizycznych i umysłowych, zawodu itd. Zasada nie-dyskryminacji proponowana przez P. J. Korwina-Mikke nie chroniłaby przed dyskryminacją leworęcznych (ustawa zakazująca im uprawiania boks), daltonistów (np. ustawa uniemożliwiająca im pracę w charakterze malarza pokojowego). Istnieje przecież olbrzymia ilość

kryteriów przy pomocy których można wyróżnić jakąś grupę i poddać ją dyskryminacji. Jeśli by umieścić w konstytucji tylko zapis o nazwach grup etniczno-norodowych chcąc im zagwarantować nie-dyskryminację, to dokonalibyśmy to, czego chcieliśmy uniknąć - dyskryminacji. Ztego względu nie uważam propozycji p. Korwina-Mikke za słuszną. Gwarancje dla własności prywatnej, całkowita swoboda umów, sprawiedliwe opodatkowanie, wolność działania są całkowicie wystarczającym zabezpieczeniem przed jakąkolwiek dyskryminacją.

Problem mniejszości niemieckiej (jak i każdej innej) przestaje istnieć w momencie rezygnacji z socjalistyczno - interwencjonistycznej polityki, wraz z ograniczeniem omnipotencji rządu i innych organizacji typu związki zawodowe, zrzeszenia pracodawców itd. Istnieje jednak jeszcze inny aspekt całej sprawy. W czasie spotkania i mszy św. w Krzyżowej, przedstawiciele mniejszości niemieckiej niesli transparent z napisem "Helmut, du bist auch unser Kanzler". W tym momencie wkraczamy w sferę polityki. Albowiem obywatele państwa polskiego niezależnie od narodowości tworzą pewną wspólnotę polityczną a więc podlegać mogą tylko jednej władzy. Wyłamanie się z tej wspólnoty i przyłączenie się do innej wspólnoty, co głosi wspomniany transparent oznacza powstanie irredenty w Polsce choćby miała ona na razie wymiar symboliczny. Rzeczka co najmniej niebezpieczna byłoby, gdyby rząd w Bonn wzmacniał te tendencje uznając, że obywatele państwa polskiego uważający się za Niemców należą do wspólnoty politycznej, na czele której ten rząd stoi. oznaczałoby to, że na terytorium Polski istnieją dwie wspólnoty polityczne czyli dwu-władza. Przedej czy później doszłoby do sporu o suwerenność, który co oczywiste, stałby się sporem o terytorium, o nowe wytyczenie granic pomiędzy politycznymi wspólnotami. Taki rozwój sytuacji nie leży w interesie Polski. A czy jest w interesie Niemiec? Na to pytanie będą sobie Niemcy sami musieli odpowiedzieć, być może już nie w Bonn ale w stolicy przyszłych zjednoczonych Niemiec (w Berlinie?).

Maurycy Rojski

CHICAGO BOYS

Ludwik von Mises urodził się w 1881 roku we Lwowie. 1900-matura w Wiedniu. 1902-1903 służba wojskowa, 1906 doktorat w zakresie nauk prawnych. Od 1914 do 1917 jako oficer artylerii walczą na froncie. Od 1918 profesor nadzwyczajny na Uniwersytecie Wiedeńskim. Nie został profesorem zwyczajnym, gdyż jako zwolennik klasycznego liberalizmu gospodarczego nie był lubiany przez kolegów po fachu. W 1934 wujadza do Genewy, a w 1940 do USA. W 1946 otrzymuje obywatelstwo amerykańskie. Jeden z założycieli Towarzystwa Mont Pelerin. W późniejszych latach nie brał zbyt aktywnego udziału w pracach Towarzystwa uznając, że i tam dotarli wpływ etatyzmu i socjalizmu. Zmarł w 1973 roku. Jego najważniejsze dzieła to: "Gospodarka Kolektywna", "Teoria i Historia", "Teoria Pieniądza i Kredytu", "Państwo Wszecmocne", "Działanie Ludzkie", "Planowanie Dla Wolności", "Biurokracja", "Mentalność Antykapitalistyczna". Poniżej drukowany tekst jest fragmentem książki "Ekonomia i Polityka. Rozważania Na Dł i Na Jutro" będącej cyklem wykładów na Uniwersytecie w Buenos Aires i wydanej już po śmierci prof. von Misesa przez jego żonę p. Maigorzatę von Mises. Polski przekład ukazał się w 1988 roku w Londynie. Wydali go państwo Bogumiła i Kazimierz Rzepowie.

Interwencjonizm

To, o czym mówiam jest teoretycznym wyjaśnieniem zjawisk występujących w tych krajach, w których próbowano wprowadzić kontrolę cen, i w których rządy zdecydowały się pójść tą drogą aż do końca. Zdarzyło się to podczas pierwszej wojny światowej w Niemczech i w Anglii.

Zanalizujmy sytuację w obydwu krajach. W obu wystąpiła inflacja. Ceny poszły w górę i rządy wprowadziły kontrolę cen. Zaczęto od cen mleka i jajek rozszerzając stopniowo zakres kontroli. Im dłużej trwała wojna tym większa była inflacja. I po trzech latach wojny Niemcy - jak zawsze systematyczni - opracowali wielki plan, który nazwali Planem Hindenburga: w tym czasie wszystko, co rząd uznawał za dobre musiało wiązać się z Hindenburgiem.

Plan Hindenburga oznaczał kontrolę rządu nad całym systemem ekonomicznym: cenami, płacami, zyskami, po prostu nad wszystkim. I biurokracja zaczęła natychmiast ten plan wprowadzać w życie. Ale nie trwało to długo, gdyż przyszła klęska, załamało się Cesarstwo Niemieckie, rozpadł się aparat biurokratyczny, swoje krwawe owoce wydała rewolucja - wszystkie plany skończyły się.

W Anglii zaczęto podobnie jak w Niemczech, ale na wiosnę 1917 roku do wojny przystąpiły Stany Zjednoczone i dostarczyły Brytyjczykom wszystkiego, czego potrzebowali. W ten sposób przerwany został marsz ku socjalizmowi, marsz ku niewoli.

W Niemczech, zanim jeszcze Hitler doszedł do władzy kanclerz Brüning znowu wprowadził kontrolę cen. Hitler robił to samo i to jeszcze przed wybuchem wojny. W Niemczech Hitlera nie było prywatnych przedsiębiorstw i prywatnej inicjatywy. Był system socjalistyczny, który od rosyjskiego różnił się jedynie w tej mierze, iż zachowywał terminologię pochodzącą z wolnej gospodarki. Nadal istniały "prywatne" przedsiębiorstwa, ale właściciel nie był już przedsiębiorcą, lecz "dyrektorem przedsiębiorstwa" (Betriebsführer).

Całe Niemcy były zorganizowane jako hierarchia wodzów (führerów). Istniał najwyższy Führer - Hitler i cała hierarchia mniejszych führerów. Naczelnym dyrektorem przedsiębiorstwa był Betriebsführer. Pracownicy przedsiębiorstwa byli określani słowem, które w wiekach średnich oznaczało pana feudalnego: Gefolgschaft. Wszyscy ci ludzie musieli słuchać rozkazów wydawanych przez instytucję o strasznie długiej nazwie: Reichsführerwirtschaftsministerium, na czele której stał dobrze wszystkim znany, opasły mężczyzna o nazwisku Göring, przystrojony w klejnoty i ordery. Z tego ministerstwa o długiej nazwie wychodziły wszystkie rozkazy do każdego przedsiębiorstwa: co produkować, w jakiej ilości, gdzie otrzymywać surowce i ile za nie płać, komu i za ile sprzedawać produkty. Pracownicy otrzymywali nakaz pracy we wskazanym przez urząd przedsiębiorstwie i otrzymywali zapłatę, której wysokość określał rząd. Cały system gospodarczy był w najdrobniejszych szczegółach kontrolowany przez rząd. Betriebsführer czyli naczelnym dyrektorem fabryki nie miał prawa zatrzymać zysku dla siebie. Dostawał miesięczne wynagrodzenie. Jeśli chciał otrzymać więcej musiał to uzasadnić np. w taki sposób: "Jestem bardzo chory i muszę mieć operację, która będzie kosztowała 500 marek" i zwrócić się do führera obwodu (Gauführera lub Gauleitera) z prośbą o wypłacenie wyższego wynagrodzenia niż to, które było wyznaczone przez rząd. Ceny już nie były cenami, płace płacami lecz ilościowymi wskaźnikami w systemie socjalistycznym.

Zobaczmy jak system ten się załamał. Po kilku latach walk zwycięskie armie wkroczyły do Niemiec. Politycy krajów alianckich próbowali utrzymać system rządowej kontroli nad gospodarką, ale bez brutalności Hitlera system nie mógł już działać.

W czasie Drugiej Wojny Światowej Wielka Brytania robiła dokładnie to samo co Niemcy: poczynając od kontroli cen niektórych tylko wyrobów, rząd brytyjski krok po kroku (w taki sam sposób jak Hitler) zwiększał zakres kontroli by w momencie zakończenia wojny osiągnąć coś, co było prawie czystym socjalizmem.

W Wielkiej Brytanii socjalizm nie został wprowadzony przez rząd Partii Pracy będący u władzy w 1945 roku. Wielka Brytania stała się krajem socjalistycznym podczas wojny dzięki rządowi, którego premierem był Sir Winston Churchill. Rząd Partii Pracy po prostu utrzymał system socjalistyczny będący dziełem rządu Sir Winstona Churchilla.

Nacjonalizacja w Wielkiej Brytanii podjęta przez Partię Pracy nie była wcale jakimś radykalnym posunięciem., gdyż już wcześniej np. koleje, przemysł stalowy czy Bank Anglii znajdowały się pod całkowitą kontrolą rządu. "Wojenny socjalizm" był interwencjonizmem stopniowo zwiększającym swój zakres aż do prawie pełnego upaństwowienia.

Różnice pomiędzy systemem brytyjskim i niemieckim nie miały większego znaczenia, gdyż ludzie, którzy ten system wprowadzali byli w przypadku obu krajów mianowani przez rząd i musieli słuchać jego nakazów. Jak już powiedziałem wcześniej, w systemie narodowych socjalistów utrzymane były nazwy i określenia opisujące działanie wolnorynkowej gospodarki kapitalistycznej. Ale w rzeczywistości oznaczały one zupełnie coś innego, albowiem o wszystkim rozstrzygały dekrety rządu.

Ludwik von Mises

Więzi kulturalne między Polakami i Niemcami

Od zarania państwowości Polski istniały owocne stosunki kulturalne między narodami polskim i niemieckim. nie zostały one przerwane nawet wtedy, kiedy stosunki polityczne były, ogólnie mówiąc, zamrożone. Byli Niemcy, którzy całkowicie wtopili się w kulturę polską i na odwrót. Oba nasze narody wydały szereg postaci, które śmiało można określić mianem pośredników. Niewątpliwie należy do nich św. Jadwiga Śląska, córka sławnego rodu hrabiów z Andechs i małżonka Henryka I-go Brodatego. Ta światła kobieta sprowadziła duchownych i zakonnice oraz artystów i rzemieślników z rodzinnej Bawarii. Sama uczyła się mowy polskiej. Opiekowała się biednymi i upośledzonymi karmiąc ich ze swych spichlerzy i goszcząc na dworze. Uczyła córki śląskiej szlachty jak pielęgnować chorych. Zmarła 15.10.1243 roku w "swym" klasztorze w trzebnicy. Niemiecy i polscy książęta z jej wnukiem arcybiskupem salzburskim Władysławem na czele osiągnęli w 1267 roku jej beatyfikację. Od tego czasu pielgrzymują do jej grobowca w Trzebnicy zarówno Niemcy jak i Polacy. Dzięki św. Jadwidze Śląsk stał się przez dłuższy czas pomostem - także kulturalnym - między Polską a Niemcami.

Jeśli ktoś zainteresowałby się początkami Uniwersytetu Jagiellońskiego, to zobaczyłby, że polscy i niemieccy uczeni żyli tam w "symbiozie". Taki profesor Anselm Ephorin był serdecznym przyjacielem Andrzeja Frycza-Modrzewskiego. Filozof ten był w Krakowie poważany również jako pedagog i lekarz.

Czyż byłaby polska muzyka bez Józefa Elsnera ze Śląskiego Grodkowa a kim byłaby Elsner bez Polski? Niestety, Niemcom, w tym także niemieckim ślązako, jest on znany tylko jako nauczyciel Chopina, a przecież jako kompozytor, pedagog, dyrygent "trząs" on życie muzycznym Lwowa a później, dzięki Bogusławskiemu, Warszawy. W lipskiej "Allgemeine Musikalische Zeitung" informował Niemców o życiu muzycznym Warszawy, a Polaków o życiu muzycznym w Niemczech.

Wiemy też o tym, że król polski Władysław IV-ty lubił otaczać się niemieckimi artystami i uczniami. Sekretarzem i nadwornym historykiem króla był Joachim Pastorius, który nawet napisał ode na jego cześć. Do sławnych uczniów królewskiego gimnazjum w Gdańsku należał także Andreas Gryphius, protestant, liryk i dramatopisarz, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli niemieckiego baroku. Pomijając wszelkie wady Augusta II-go króla Polski i księcia - elektora Saksonii, jego epoka miała także pozytywny wpływ na rozwój kultury polskiej. Autorem dzieł o tematyce saksońskiej takich jak "Hrabina Cosel", "Trylogia Saksońska", "Bruhl", "Wojna Siedmioletnia" był Józef Ignacy Kraszewski, który przez dłuższy czas żył i działał w Dreźnie. Krew saksońska płynęła w żyłach nie kogo innego jak Joachima Lelewela, syna nadwornego lekarza królewskiego barona von Loelhoeffel und Loewensprung. Swego czasu katowicka "Trybuna Robotnicza" podkreślała, że być może żadne miasto niemieckie nie jest tak silnie związane z kulturą polską jak Drezno. Przy Nordstrasse 18 stoi tam dom Kraszewskiego przekształcony w jego muzeum. W "Dzienniku Podróży" polskiego kompozytora Karola Kurpińskiego znajdujemy wiele dowodów na to, jak silna była w Dreźnie Polonia. Nawiasem mówiąc Kurpiński był tam gościem Carla Marii von Webers. Później działał w Dreźnie jako nadworny koncertmistrz "polski Paganini", Karol Lipiński. Miał bardzo silną pozycję w tamtejszym życiu muzycznym i był sławny jako doskonały interpretator Bacha i innych kompozytorów niemieckich. Zetknął się tam z Richardem Wagnerem, wielkim sympatykiem Polski i Polaków, co znalazło swoje odbicie w niektórych jego utworach jak np. uwertura koncertowa "Polonia" bazująca między innymi na motywach polskiego hymnu narodowego.

Już w 1619 roku Michael Pastorius słażył w pewnym traktacie jakos polskich skrzypiec, które były tak doskonałe, że sprzedawano je w Niemczech jako włoskie. Zás pierwsza kapela dworska króla Zygmunta I-go składała się w przeważającej mierze z muzyków niemieckich. Wiele pieśni niemieckich znaleźć można np. w tabulaturze organowej Jana z Lublina.

Wiemy o serdecznej przyjaźni między Fryderykiem Chopinem a małżonką Clara Wieck i Robertem Schumanem. Obaj kompozytorzy wymienili i zadedykowali sobie kompozycje. Mieszkając w Paryżu pozostawał Chopin w przyjaźni z Heinrichem Heine. A dodać trzeba, że Robert Schumann słażył go w niemieckiej prasie muzycznej jako wybitnego kompozytora, porównując jego muzykę do armat zagrażających carowi.

Pod wrażeniem upadku Powstania Listopadowego młody Albert Lortzing skomponował operę "Der Pole und sein Kind" ("Polak i Jego Dziecko") przedstawiając w niej los powstańczego oficera polskiego i jego małego synka na emigracji w Niemczech. Prawykonanie odbyło się w Osnabrück. Niemalży wpływ na życie kulturalne Warszawy miał E.T.A. Hoffmann ożeniony nota bene z Polką. W 1804 roku powołał on do życia w Warszawie "Towarzystwo Muzyczne Ressource", którego orkiestra dawała później pod jego kierownictwem koncerty w pałacu Mniszkowskich. To Hoffmann jako pierwszy zaznajomił warszawską publiczność z symfonią Beethovena.

Stanisław Moniuszko ożeniony z Aleksandra Müller z "niemieckiej ulicy" w Wilnie pobierał pierwsze lekcje muzyki u warszawskiego kantora z kościoła ewangelickiego Augusta Freyera a później na berlińskiej Singakademie u prof. Karla Friedricha Rungenhagena, który z kolei był uczniem malarza Daniela Chodowieckiego z Gdańska, działającego w Berlinie. Pod wpływem Moniuszki Rungenhagen napisał swoją operę "Wanda i Raciborz". Mniej więcej w tym samym czasie Carl Loeweskomponował pieśni do wierszy Adama Mickiewicza takich jak "Pani Twardowska" i "trzej Budrys". Berlińskie wydawnictwo Bote und Bock wydało także pierwsze pieśni Moniuszki do słów Mickiewicza w tłumaczeniu Karla Blankensee. Wiadomo też, że nie bez wpływu na Moniuszkę pozostawała twórczość operowa von Webera i Wagnera. Wiele swych pieśni skomponował Moniuszko do słów Goethego ("Znasz li ten kraj", "Do dalekiej kochanki" i inne).

Bardzo znany w Niemczech był polski skrzypek Józef Wieniawski. Studiował on w Berlinie u Josepha Marxa, całe życie popierał go sławny skrzypek Joseph Joachim. Wieniawski jeden z koncertów skrzypcowych zadedykował królowi pruskiemu a większość jego kompozycji ukazała się w niemieckich wydawnictwach muzycznych takich jak Breitkopf i Hartel, Kistner und Jurgensohn. W Berlinie krążył swego czasu wierszyk:

War einst ein Geiger weltbekannt
Henri Wieniawski suberant
konnt' spielen kunst-und anmutvoll
und wollt es tun im Saal bei Kroll

(Był ongiś skrzypek światowej sławy
co się nazywał Henryk Wieniawski
potrafił grać z artyzmem i wdziękiem
i czynił to w sali Krolla)*

Dodać trzeba, że również jego brat Józef, pianista i kompozytor był dobrze znany w Niemczech. Większość jego kompozycji wydana została przez niemieckie wydawnictwa muzyczne.

Jan Ignacy Paderewski studiował u Friedricha Kiele w Berlinie i był serdecznym przyjacielem berlińskiej rodziny wydawniczej Bock. W swoich pamiętnikach chwali niemiecką publiczność muzyczną. Paderewski pozostawał w serdecznej przyjaźni z dyrygentami: Hansem von Bulow (którego drugą żoną była Polka), Ernstem von Schuch, który dyrygował w Dreźnie prapremiera jego opery "Manru" i Arturem Nikischem (Paderewski był ojcem chrzestnym jego dziecka).

W moim rodzinnym Głogówku na Opolszczyźnie istnieje "Izba Beethovenowska" na zamku hr. Oppersdorffa, dokąd sławny muzyk boński odbył w roku 1806 swoją najdalszą podróż. Polska muzykologia przypuszcza, że tam kompozytor dostał tekst do swoich polskich pieśni (w grę mogą też wchodzić jego uczennice lub polscy przyjaciele z Wiednia).

W Wiedniu mieszkał często Beethoven u hr. Ossolińskiego, który wspierał kompozytora.

W Niemczech żył i działał Mieczysław Karłowicz. Wielkie sukcesy odnosił tam Karol Szymanowski, który poprzez matkę związany był rodzinnie z Nadrenią i Bawarią. Jego pierwsze kompozycje opublikowane zostały w Berlinie a prapremiera jego opery "Hagit" odbyła się w Düsseldorfie.

Więzi muzyczne nie urwały się nawet w czasie okupacji hitlerowskiej. Brat sławnego Paula Hindemitha, Rudolf, działał podczas okupacji w Krakowie jako pedagog muzyczny i kształcił potajemnie także polskich muzyków.

Po wojnie na Śląsku, przede wszystkim we Wrocławiu działało sporo polskich muzyków, którzy przeważnie w późniejszych latach opuszcili Śląsk w kierunku RFN. Wymieniamy tutaj tylko światowej

siewy rogiście prof. Maximiliana Zimolonga, który później działał w Stuttgarcie.

Długo trwał spór o narodowość Wita Stwosza. W końcu naukowcy doszli do przekonania, że jest on własnością wspólną, wybitnym europejskim artystą. Być może to samo stanie się kiedyś z Mikołajem Kopernikiem.

Jan Kochanowski napisał swe pierwsze wiersze jako student niemieckiego uniwersytetu w Królewcu. W języku niemieckim opublikowali swoje pierwsze dzieła Jan Kasprowicz i Stanisław Przybyszewski. Przybyszewski należał swego czasu do berlińskiej awangardy literackiej. Przez pewien czas mieszkał też w Monachium.

Dzięki swej tesciowej Marii Szymanowskiej pianistki i kompozytorki Adam Mickiewicz zetknął się w Weimarze z Goethem, który w dowód uznania wręczył mu swoje pióro. Nota bene Goethe był swego czasu "zakochany po uszy" w Szymanowskiej. Julian Ursyn Niemcewicz utrzymywał zaś przyjazne kontakty z Fichtem i Schleglem.

Po upadku Powstania Listopadowego rozkwitła w Niemczech tzw. "polenliyrrik". Głównymi jej przedstawicielami byli von Platen, Uhland, Freiligrath, Lensau, Grillparzer, Hebbel, Schwab, Geibel i Holtei. Ludwig Uhland poświęcił "polskiemu Goethemu" wiersz "Jeszcze polska nie zginęła". Christian Friedrich Daniel Schubart napisał pamiętny poemat "Polsko, ty nieszczesny kraju, kiedy skończy się twoja niewola?". Brockhaus wydał antologię wierszy Norwida opracowaną przez Georga Forstera, profesora uniwersytetów w Wilnie i Moguncji. Mitzler de Koloff stał się rzecznikiem polskiego renesansu, a Wincenty Pohl oddał się zupełnie polskiej literaturze.

Na Carla Hauptmanna (brata słynnego Gerharta) i jego twórczość wywarł wpływ Józefa Kodis-Krzyżanowska, późniejsza małżonka znanego patologa i twórcy polskiego empirokrytycyzmu. do serdecznych przyjaciół Carla Hauptmanna w Zurychu należeli Franciszek Popiel, którego przedstawił później w swej twórczości, zoolog i profesor Uniwersytetu Lwowskiego dr Henryk Wielowiejski oraz Zofia Krzyżanowska, siostra Józefa.

Józefa, w której Carl Hauptmann był zakochany pojawia się w jego pierwszym dziele "Die Sonnenwanderer" a jego dramat "Marianna" dedykowany jest "mojej przyjaciółce Pani Zofii Kodis-Krzyżanowskiej". Pod pseudonimem Jean Paul d'Ardeschah opublikował tłumaczenie "Chłopów" Reymonta. Józefa pojawia się także w powieści Gerharta Hauptmanna "Einsame Menschen" ("Samotni Ludzie").

Temat polsko-niemieckich więzi kulturalnych można by kontynuować w nieskończoność. Dodajmy więc na koniec, że w RFN aż pulsuje kultura polska. Istnieje cały szereg galerii - także w rękach polskich - które wystawiają i sprzedają polską sztukę nowoczesną. W księgarniach roi się od tłumaczeń literatury polskiej a niejednego polskiego pisarza został już odznaczony jakąś RFN-owską nagrodą literacką. Były czasy, gdy opery i filharmonie w RFN byłyby nie do pomyślenia bez polskich chórzystek, chórzystów, baletnic, tancerzy, instrumentalistów i solistów wokalnych. Obecnie żyje przejściowo w RFN około 2000 wykwalifikowanych muzyków. Niemniej część z nich można spotkać w orkiestrach wielkich księgarni a także spora liczba chórów. Istnieje też instytut specjalizujący się w polskiej literaturze współczesnej, działają przeróżne instytucje i czasopisma zajmujące się szerzeniem kultury sąsiedniego Narodu Polskiego.

Joachim Georg Görlich

Joachim Georg Gorlich ur. w Glogówku na Opolszczyźnie w 1931r. jako syn niemieckiego inżyniera wojskowego. Studia ukończone w PWSM we Wrocławiu. Ożeniony z córką polskiego nauczyciela, uczestnika Powstania Śląskiego i więźnia Dachau. Od 1959 r. mieszka w RFN. Dziennikarz, pisarz, kompozytor. Pracuje dla prasy ponadpartyjnej i konserwatywnej, m. in. Criticon, Welt am Sonntag, Neue Musikzeitung, Kulturpolitische Korrespondenz (Bonn), Münchener Merkur, DER STANDARD (Wiedeń), Der Arbeitgeber (Kolonja) oraz dla innych czasopism katolickich w RFN, Austrii, i Szwajcarii. Członek Towarzystwa Publicystów Katolickich i Niemieckiego Związku Dziennikarzy. Pisuje często na tematy polskie. Powyższy artykuł napisany został specjalnie dla "Kolibra".

CRITICON

CRITICON

Pod znakiem Baltazara Gracjana

Monachijski dwumiesięcznik "Criticon" jest w Polsce prawie zupełnie nie-znany. To, że tygodnik "Forum" nie przedrukował nigdy żadnego artykułu z tego pisma to zrozumiałe - mądrość redaktorów kończy się na takich tytułach jak "Der Spiegel" i "Die Zeit", ale musi dziwić, że w "Twórczości" mającej stały dział "Przegląd zagraniczny" nie pojawiło się nigdy omówienie jakiegos numeru "Criticonu". A przecież omawiane tam są (lub były) takie czasopisma jak "Frankfurter Hefte", "Akzente", "Merkur", "Der Monat" a nawet "Neue Deutsche Hefte" (o "Kursbuchu" i "L-iles tam" nie muszę wspominać). Ale tak to często bywa w Polsce, że przyjmuje się od innych narodów to, co najgorsze lub przeciętne a to, co najlepsze pozostaje niezauważone. Polska prawica tej zgubnej tradycji hołdować nie powinna. Stąd te kilka zdań o "Criticonie".

Pierwszy numer pisma ukazał się latem 1970 r. i poświęcony był w dużej mierze wybitnemu antropologowi Arnoldowi Gehlenowi (najwyższy już czas, żeby prace tego autora dotarły do polskiego czytelnika, który powoli zaczyna się nudzić Bölle, Grasse, Wallraffem, Habermasem, i Marianną hrabiną Denhoff"). Gehlen pojawił się nieprzypadkowo, gdyż to właśnie jego wydana rok wcześniej książka "Moralność i hipermoralność" była jednym z głównych impulsów, które skłoniły barona Kacpra von Schrenk-Notzinga do założenia "Criticonu". Jak twierdzi p. Armin Mohler (współredagujący pismo) książka Gehlena przyczyniła się do powstania świadomej siebie i zdecydowanej prawicy, która była najpierw ruchem intelektualnym a później zaczęła wywierać również wpływ na politykę. Jak pisze p. Mohler była to pierwsza prawica po klęsce III Rzeszy będąca do przyjęcia także dla tych młodych Niemców, którzy dzięki łasce późnych narodzin uniknęli bezpośrednich skutków prania mózgu i charakterów. Powstanie "Criticonu" zbiegło się, co nie jest przypadkiem, z kulminacją "rewolucji kulturalnej" w Niemczech Zachodnich i było r e a k c j a na dominację lewicy w życiu kulturalnym, naukowym i politycznym. Założycielem i redaktorem naczelnym pisma jest baron von Schrenck-Notzing, autor kluczowej dla zrozumienia marańsko-intelektualnej sytuacji w RFN książki "Pranie charakterów. Amerykańska okupacja w Niemczech i jej skutki". Oprócz tego

napisał on takie książki jak: "Historia Indii", "Ci, którzy robia przyszłość. Nowa lewica w Niemczech i jej pochodzenie", "Zmierzch honoratorów. Kłaska centrum. Bilans i alternatywa", "Pożegnanie z państwem partyjnym. Symptomy przełomu". Przy redagowaniu pisma stale współpracują z nim p. prof. Klaus Motschmann, p. dr. Jan Klatz i wspomniany już dr. Armin Mohler, autor wielu znaczących książek: "Rewolucja Konserwatywna", "Francuska prawica", "Seks i polityka", "Widziane z prawa", "Pokonanie przeszłości. Od oczyszczenia do manipulacji", "Zmiana pogody dla postępców", "Czego boją się Niemcy. Strach przed polityką. Strach przed historią. Strach przed władzą".

Nazwa pisma pochodzi od tytułu powieściowego traktatu moralno-filozoficznego "Criticon" albo o powszechnych występkach człowieka - autorstwa siedemnastowiecznego jezuity Baltazara Gracjana (po polsku ukazało się jego znakomite dzieło "Oraculo manual y Arte de Prudencia" czyli w dosłownym tłumaczeniu "Podręczna wyrocznia i sztuka roztropności"). Jeden z głównych bohaterów "Criticonu" nazywa się Critilo i tak też zwykło podpisywać swoje artykuły wstępne baron von Schrenck Notzing.

Monachijskiemu pismu patronuje więc Baltazar Gracjan jeden z wielkich konserwatywnych maralistów, piewca "światowej mądrości" i profesor Pisma Świętego, przenikliwy znawca międzyludzkiej polityki i dyplomacji a zarazem piśmienny kaznodzieja, zakonnik wzorowo wypełniający śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa (co nie przeszkadzało mu narazie się przełożonym) i równocześnie konceptysta, mistrz słowa i paradoksu piszący w "estilo culto" i formy, zdrowego rozsądku i taktu, umiaru i smaku, sceptyczny wobec natury ludzkiej pesymista odkrywający ukryte sprzyny ludzkich czynów. A do tego jeszcze to on właśnie z krzyżem w ręku wiodł dywizję za dywizją hiszpańskiej armii Leganesa do szturmów na twierdze Lerida broniona przez Francuzów pod wodzą hrabi d'Harcourt Lotaryńskiego, który wspierał Katalończyków przeciw królowi Filipowi IV-temu. Po zdobyciu twierdzy obwołany został przez żołnierzy "Ojcem Zwycięstwa". Trudno byłoby znaleźć lepszego patrona dla prawicowego pisma, które, jak sadzę, nie ma sobie równych na kontynencie europejskim. Tylko Zjednoczone Królestwo może mu przeciwwstawić "The Salisbury Review" kierowany przez p. Rogera Scrutona.

Każdy numer "Criticonu" ma zwykle jakiś temat przewodni. Ostatnio były to: rewolucja, kontrrewolucja, prasa i dziennikarstwo, zjednoczenie Niemiec, Europa, kryzys w CDU. Poza tym zawiera wiele różnorodnych artykułów o historii, literaturze, tradycji i współczesności konserwatywnej prawicy, o polityce wewnętrznej i międzynarodowej. Wiele jest też krótszych, ale za to celnych komentarzy i glos. Doskonale prowadzony jest dział omówień i recenzji książkowych. Zwraca uwagę brak bezpośrednich polemik, być może zgodnie z powiedzeniem Dionizego Cortesa, że polemika łatwo zranic może a pożytku z niej dla prawdy niewiele.

Bardzo ważna pozycja "Criticonu" są "Portrety autorów". W każdym numerze znawca problemu przedstawia sylwetkę jakiegoś myśliciela społecznego lub politycznego, filozofa, pisarza, uczonego, rzadziej polityka, którego dzieło jest (lub powinno być) znane każdemu, kto swoje miejsce widzi w obozie prawicy. Pisano przeto w "Criticonie" m. in. o takich "konserwatywnych głowach" jak Kirk, Parkinson, de Jouvenel, Evola, de Tocqueville, Ortega y Gasset, Michiavelli, Lorenz, Burnham, de Maistre, Scheler, de Rivalor, Hume, Burke, John Adams, von Clausewitz, Le Bon, Cortes, Coleridge, Hobbes, Mencken, Bernanos, Malaparte, von Hayek, Michels, Schlamm, Forsthoff, Maurras, Voegelin, Eliot, Eliade, Gorres, Disraeli, Barruel, Bierdiajew, de Bonald, Rougier, von Haller, Edgar Jung, Buckley, Moeller van der Bruck.

Na łamach "Criticonu" publikują najwybitniejsi przedstawiciele niemieckiej (także austriackiej) prawicy tacy jak Eryk von Kuehnelt-Leddihn, Gerard-Klaus Kaltenbrunner, Genter

Rohrmoser, Klaus Hornung, Karol Gustaw Ströhm, i wielu innych w tym także, zecz jasna pp. von Schrenk Notzing i Mohler, również historycy jak choćby Dietrich Aigner, Helmut Diwalt i inni. Coraz częściej pojawiają się też w "Criticonie" młodszy, urodzeni już po wojnie konserwatyści: Mladen Schwartz (ur. 1947), Rolf Schlierer (ur. 1955), Karol Henryk Weissmann (ur. 1959), Karol Eckhard Kahn (ur. 1960).

Jest "Criticon" pismem niezwykle ciekawym, znakomicie redagowanym, i, co bardzo ważne, pisze się tu po niemiecku a nie w zargonie typowym dla lewicy czy też w trudno zrozumiałym języku zwanym "Spiegel-Deutsch". Monachijski dwumiesięcznik zerwał z tużpowojennym, jak go określa Mohler "piaszczliwym, ogrodniczym konserwatyzmem". Konserwatyści z "Criticonu" i okolic przypomnieli sobie, że prawica to ręka, w której trzyma się miecz, ręka która się walczy i podobnie jak Baltazar Gracjan z krzyżem w ręku szturmował na czele wojsk twierdząc Lerida tak i oni przypuszczili gwałtowny atak na bastiony lewicy w kulturze, ideologii, myśli społecznej i politycznej. Jest prawda, że ich jeszcze nie zdobyli i że aktywiści "kulturalnej rewolucji" z końca lat 60-tych nadal okupują prasę, media, uniwersytety, teatry itd. Ale konserwatywna krucjata nie słabnie. Oblężenie lewicowych twierdz trwa nadal.

Tomasz Gabiś

cena
600

N° 1 (2)
STYCZEN
1990
WROCŁAW

C
P J
O A





MIESIĘCZNIK KONSERWATYWNO-LIBERALNY



ZA MIESIĄC min:

Plinio Correa de Oliveira

„Pięść dusi różę”

— JKM —

— Ayn Rand-guru —

SZCZĘŚLIWEGO
NOWEGO ROKU

Nowe prywatne pismo wrocławskich konserwatystów "OPCJA" już w sprzedaży.

Różnorodnie, a przede wszystkim ciekawe artykuły, informacje i opracowania.

Jeśli chcesz mieć stały kontakt z myślą pravicową zaprenumeruj miesięcznik konserwatywno-liberalny "OPCJA".

A kontakt: Henryk Olbrycht 50-550 Wrocław ul. Wierzyńska 65/1



T
F
P

Association Française pour la Défense
de la Tradition, de la Famille et de
Propriété.

6, Av. Chauvard
96200-Asnières, FRANCE
Tel. /331/793-3697

Tradition Family
Property Washington
Bureau

P.O. Box 2984
Washington, DC 20013-USA
Tel. /703/892-1810

Punktem wyjścia do narodzin stowarzyszeń TFP /Tradition, Family and Property/ była założenie w 1960 roku przez profesora Plinio Correa de Oliveira Brazylijskiego Stowarzyszenia dla Obrony Tradycji, Rodziny i Własności Prywatnej /Sociedade Brasileira de Defesa de Tradição, Família e Propriedade/.

Zasadniczo stowarzyszenia TFP tworzą jedną rodzinę inspirowaną duchowo wspólnym ideałem rekonstrukcji Cywilizacji Chrześcijańskiej w dzisiejszym świecie. Istnieją poza Brazylią na terenie trzynastu krajów: Argentyny, Afryki Południowej, Boliwii, Chile, Kolumbii, Ekwadoru, Hiszpanii, Stanów Zjednoczonych, Francji, Peru, Portugalii, Urugwaju i Wenezueli.

Ponadto TFP posiada swoje biura reprezentacyjne w Rzymie, Waszyngtonie, Frankfurtcie, Londynie, Sydney, Caracas, San Jose de Costa Rica i w Johannesburgu.

Wszystkie te placówki są stowarzyszeniami świeckimi i jako takie działają w sferze doczesnej, obywatelskiej. Ich praca czerpie jednak inspirację z tradycyjnej doktryny Kościoła Katolickiego.

Podstawowym celem TFP jest walka, za pomocą środków pokojowych i legalnych z penetracją socjalistyczną i komunistyczną we współczesnych społeczeństwach.

Znając poważne rozmiary infiltracji socjalistycznej i komunistycznej w środowiskach katolickich, w łonie lewicy zwanej katolicka, stowarzyszenia TFP kierują swoje szczególne wysiłki przeciw tego typu infiltracji.

c.d. ze str.48

7. Upadek gospodarczy i dalszy społeczny jest nieuniknioną konsekwencją fałszywego ekonomicznie kompromisu "okrągłego stołu", manipulacyjnych zabiegów socjotechnicznych rządzącej lewicy oraz świadomego oddziaływania na kształt polskiego programu gospodarczego określonych sił z Zachodu. Zastój i upadek jest nieunikniony. Dotarcie skutków tego upadku do opinii publicznej stanie się przyczyną głębokich przewartościowań politycznych. Być może, że nowa konfiguracja sił politycznych i społecznych umożliwi zrealizowanie powrotu do gospodarki kapitalistycznej.



P.O. Box 9752, Denver, CO 80209, (303) 777-3588

Publishers of
Freedom Daily

Jacob G. Hornberger
President

Roczna subskrypcja "Freedom Daily" dla obywateli wynosi 15 \$. Jednakże dla tych Polaków, którzy chcieliby zaprenumerować "Freedom Daily", obniżamy cenę do 10\$ rocznie. Tyle samo płacą komuniści jak i nie-komuniści. Nasz rząd nie lubi dyskryminacji!!!

P U M A

W październiku 1989 r. powstała we Wrocławiu Prawicowa Unia Młodzieży Akademickiej. Skupia ona różne odłamy prawicy. Propaguje wśród studentów idee odpowiedzialności, honoru, wolności i prawdy tkwiące korzeniami w zasadach moralności chrześcijańskiej. Jej podstawowym celem jest walka z lewicową demagogią występującą w środowiskach inteligentnych. Dąży do pełnej niezależności szkolnictwa wyższego przez jego prywatyzację. Domaga się zastąpienia przymusowego poboru do wojska ochotniczą armią zawodową.

Kontakt: Dariusz Tokarz tel. 21-96-08 Wrocław

Oddział Dolnośląski Unii Polityki Realnej

Kontakt: 68-61-92, 57-07-76 Wrocław

Klub Konserwatystów im. Aleksandra hr. Fredry

51-140 Wrocław ul. St. Piłsaka 9

tel. 57-47-45

=====

KOLIBER Pismo konserwatywnych liberalów. Wrocław

Rok założenia: 1984

Założyciele: Krzysztof Bakowski, Tomasz Gabis

Andrzej Mańnica, Aleksander Popiel

Redaktor: Tomasz Gabis

Adres Redakcji: 51-140 Wrocław

ul. St. Piłsaka 9

K O L I B E R

**Politycy są w demokracji
kondensatorami
głupoty.**

[Mikołaj G. Davila]

Druk:
Wolna Drukarnia
im. Adama Heydla
WARSZAWA